



Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!

GAZETA KRAKOWSKA

Dziennik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

Kraków • Nowy Sącz • Tarnów ■ Środa, 1985—05—08 ■ Nr 106 (11293) ■ Rok XXXVII ■ Cena 10 zł ■ Wyd. 1,



1. Benon Liberski — „Lenino”

...A ŚPIEWAĆ MOŻNA BYŁO PO WOJNIE

ostatnie dni kwietnia 1945 r. — na ulicach Berlina walczą wydzielone jednostki I Armii Wojska Polskiego. Dochodzą do budynków Politechniki i lasu Tiergarten. Atakująca piechota napotyka silny opór. Dowodzący jedną z jednostek piechoty wzywa wsparcia artylerii. Po desantnym plutonem ogniowym dowodzi ppor. Jerzy Chełmiński. Kpt. Andrzej Słowikowski rozpoznaje w nim niewidzianego od prawie roku przyjaciela z partyzantki na Wołyniu. Na rozmowę nie starcza czasu. Lekkie działa wysuwają się do przodu. Pod silnym ogniem niemieckim oddają kilka strzałów. W pobliżu polskich ogniat wybuchają pociski ciężkich moździerzy. Są ranni. Słowikowski zostawia swoich piechurów i biegnie między drzewami. Z dwoma innymi żołnierzami wynoszą nieprzytomnego Chełmińskiego z zagrożonego rejonu. Cały czas trwa wmagający się ostrzał.

miętasz Jurek, przecież wynosiliśmy cię na palatce, byliśmy w samych mundurach. Zgadza się? Leciałeś w palatce? — Nie wiem. Już nie pamiętam. Ale że to ty mnie tam wystawiłeś to będę pamiętał do końca życia — mówi z uśmiechem. — Od tego byłeś artylerią wsparcia. — Tak, ciągle wypychano nas przed pierwszą linię. — Strasznie żałuję, że nie ma tuż nami Witolda Jackowskiego z dywizyjnego związku, który razem ze mną udzielał ci pierwszej pomocy. No, a później nasz szlak? Ty przez poszczególne punkty ewakuacyjne trafiles do szpitala, a ja... niewiele później. — Ubiegłem cię. — Ale niewiele, chyba pięć dni. Byłem ranny 5 maja, już poza Berlinem. Trafłem do szpitala aż w Warszawie. Słuchaj, ja pamiętam nawet numer tego szpitala „84133”!

— Czyli Panów spotkanie w Berlinie trwało kilka minut? — pytamy zaciekawieni. — Nikt z nas na zegarek nie patrzył, ale dosłownie chwilę. Ucieszyliśmy się ze spotkania, ale rozmawialiśmy o tym jak zapewnić piechocie wsparcie. Na wspomnienia nie było przecież czasu. — Przez ten rok chyba sporo Panowie przeżyli. Wspominać było o czym. — Sporo? Przecież to prawie cały szlak bojowy I Armii — Lublin, Warszawa, Koblitz, Odra, kanał Hohen-zollernów. — A w jakich okolicznościach się rozstaliście? — Ja jestem z Krakowa — mówi pan Słowikowski — kiedy wojna wybuchła miałem te naście lat i jak całe nasze pokolenie... konspiracja. Byłem w krakowskim „Żelazce”. Po wyspie musiałem uciekać do Warszawy, a stamtąd w 1943 roku, skierowano mnie do partyzantki na Wołyniu. I tam poznałem Jurka.

— A ja jestem z Kowla. Przeżyłem dwie wojny. Najpierw wrzesień 1939, a potem czerwiec 1941 i najazd Niemców na Związek Radziecki. Byłem zmobilizowany do Armii Czerwonej, ale Niemcy posuwali się tak szybko, że nawet nie zdążyłem włożyć munduru. W 1943 roku trafiłem do partyzantki. — Była to nietypowa formacja — 27 Wołyńska Dywizja Piechoty Armii Krajowej. Walczyliśmy nie tylko z Niemcami, ale przede wszystkim broniliśmy ludności cywilnej przed bandami UPA. Tam się działy straszne rzeczy. Wyobraźcie sobie panowie taki obrazek: rodzina siedzi przy kolacji i nagle przez okno wpada wiązka granatów. Rzeź!

— 27 Wołyńska Dywizja była jednym z najsilniejszych zgrupowań partyzanckich. — Tak. W szczytowym okresie liczyła 6,5 tysiąca osób. Wołyń praktycznie oczyściliśmy z band UPA. Dysponując taką siłą z powodzeniem walczaliśmy z regularnymi oddziałami wermachtu feldmarszałka W. Modla. Byliśmy też dobrze uzbrojeni dzięki zrzutom z Zachodu. Dysponowaliśmy nawet czterema lekkimi działami polowymi... — ...Zrzuty to nie wszystko. Nie wiem czy słyszeliście panowie o naszej „współpracy” z Węgrami? Kilkakrotnie dostarczali nam transporty broni maszynowej. Transport jechał przez las, wspólnie flingowaliśmy starcie i Węgrzy się wycofywali, pozostawiając konwojowany sprzęt. Nie robili tego oczywiście za darmo. — A kiedy włożyliście mundury I Armii?

Michał Łymierski
Marszałek Polski

W przededniu czterdziestej rocznicy Zwycięstwa nad hitlerowskim faszyzmem
Czytelnikom „Gazety Krakowskiej”
a za ich pośrednictwem wszystkim mieszkańcom mojego ukochanego grodu-
Krakowa, którego patriotyczna atmosfera ukształtowała mnie i przysposobiła
do walki o wolność naszej Ojczyzny

przyszłości bez wojen
i dużo zadowolenia
ze współtworzenia naszej zbiorowej pomyślności

sercem krakowianin

M. Łymierski
Michał Łymierski
Marszałek Polski



2. Stanisław Masiak — „5 Saska Dywizja Piechoty”



3. Stefan Garwatowski — „Monte Cassino”



4. Michał Bylina — „Wrzesień 1939”

Prezentowane w numerze barwne ilustracje pochodzą ze zbiorów malarstwa Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Za ich udostępnienie redakcja dziękuje. Reprodukcyjne obrazy wykonał Mirosław Ciunowicz.

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)



Obóz w Kiwercach. Zdjęcie wykonane po przysiędze żołnierzy 27. Wołyńskiej Dyw. Piechoty AK wstępujących do I Armii. Przemawia gen. Z. Berling, obok siedzi gen. A. Zawadzki.

...A ŚPIEWAĆ MOŻNA BYŁO PO WOJNIE

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

— Na przełomie maja i czerwca wymykając się z okrażeń przeszliśmy z częścią Dywizji linię frontu. Było to na Prypeci. Nie dla wszystkich skończyło się szczęśliwie. Dostraliśmy się pod silny ogień artyleryjski z dwóch stron. Wielu z nas zginęło. Do obozu przejsiowego w Kiwercach dotarło około trzystu osób. Byliśmy pierwszą tak liczną grupą, która przeszła z partyzancki do szeregów regularnego wojska.

Andrzej Słowikowski, gospodarz naszego spotkania, wywołuje z szuflady teczkę ze zdjęciami.



— Czy poznajesz, Jurek tego przystojnego, szczupłego młodzieńca?

— To ja, Jurek. Zostałem nie ty jesteś najważniejszy na tym zdjęciu. Robiono je w Kiwercach, zaraz po przysiędze. W środku stoi generał Berling a obok siedzi generał Zawadzki.

— Była też Wasilewska i Drobner. Ale na tym zdjęciu są zasłonięci. Powiem panom, że spotkałem Wasilewską jeszcze kilka razy. Nie przypada mi do gustu jako kobieta. Starala się być bardzo męska.

— W Kiwercach widzieliście się Panowie po raz ostatni?

— Po prostu trafiliśmy do różnych jednostek. Ja do drugiej a Jurek do pierwszej dywizji.

Przysiadła się do nas żona gospodarza. Przeglądaliśmy zdjęcia, legitymacje. Zmieniamy tasnę magnetofonową — nie ostatnią dzisiaj. Bokserka Sabaszecka, właśnie wróciła ze

bie wtedy, że ja sam miałem zgodzić z przepisami załodzie: koszulę, czapkę polową i onur.

Ręsta to była przedziwna skądinka.

— Umundurowanie — w sytuacjach koniecznych — kombinowało się w różny sposób. Na przykład buty. Każdy z nas dostał bucior na gumowych podszewach z naszwami ze świńskiej skóry i cholewami z kierz. Niezbyt wygodnie się w nich chodziło. Kiedyś, chyba po zdobyciu Kołobrzegu, „poprosiłem” niemieckiego oficera o buty i kurtkę skózaną. Zresztą obie rzeczy przywędrowały ze mną później z powrotem do Polski. Kurtkę komus oddałem, a w butach, po obcięciu cholewek, jeszcze długo chodziłem. Udało mi się też „zdobyć” gdzieś skórzane spodnie. Okazało się, że uchroniły mnie potem od ciężkich obrażeń w czasie wypadku motocyklowego.

Jedziemy, takim potężnym

motocyklem wzdłuż muru obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Wjeżdżamy w las i nagle kierowcę za szyję łapie rozciągnięty, nie wiem — przypadkowo czy celowo, kabel telefoniczny. Widząc co się dzieje próbowałem odepchnąć ręką wrzynający się w szyję kabel. Jednak nie nie pomogło. Wyrzuciło nas jak z katapulty i tocząc się po drodze uderzyłem o drzewo.

Spoglądałem w górę, a tu brzechy końskie. Kilka koni przebiegło dosłownie po mnie i żaden nawet mnie nie zadrasnął. Dzięki tym skózanym spodniom tylko trochę się potłukłem. Co się stało z kierowcą — nawet nie wiem. Pamiętam

ności, a dopiero dziś dociera do niego tragizm tamtych chwil. Pamiętam taki nocny bój. Nacieraliśmy w odkrytym terenie. Ciemności rozświetlały tylko wybuchy pocisków. Nagle dostaliśmy ogień ciężkiej artylerii. Obok mnie biegł jakiś żołnierz. Nagle wybuchł pocisk. I on biegł dalej ale... jego właściwie już nie było. Został przecięty w pół. Biegły same nogi!

Trudno to w to uwierzyć, ale nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia. Trwała walka. Dopiero potem... Takich sytuacji było mnóstwo.

Wytrzymaliśmy to tylko dlatego, że nie było czasu na rozpamiętywanie. Byliśmy ciągle zbyt zmęczeni, zbyt zmarznęci i nie zawsze syli.

— Bo żołnierzowi nie wolno rozmyślać. Żołnierz ma walczyć. Najgorsze jest czekanie przed bitwą. Przecież boja się wszyscy. Bardzo ważna jest rola oficera, który musi umiejętnie pokierować rozmową. Inaczej całe wojsko mu się „rozsyple”.

znalem młodą kobietę, która z dwójką dzieci przyjechała do Polski za posuwającym się frontem. Po 1939 roku znalazła się na Dalekim Wschodzie, wyszła tam za mąż za Rosjanina. Dala mi list do swoich rodziców na wypadek gdybym znalazł się w Bydgoszczy, bo stamtąd pochodziła.

I rzeczywiście trafiliem do Bydgoszczy. Przypomniałem sobie wtedy o liście. Odnalazłem ten dom. Było to gdzieś na przedmieściu. Na schodach stał starszy mężczyzna. Spytałem go gdzie mieszka... Wiedział nie pamiętam już nazwiska... Tyle lat. Okazało się, że to właśnie ojciec tej kobiety. Powiedziałem: — Mam dla pana list od córki. — To niemożliwe — odpowiedział — córka już dawno nie żyje! Wtedy wyszła z domu jego żona. Kiedy otworzyli list, ona zemdlą. Boże! jak oni się cieszyli...

Rwa się słowa. Po twarzy opowiadającego tę historię płyną łzy. Prawdziwe łzy. Szybko zakłada ciemne okulary.

— I wiesz, właśnie od nich dostałem buty. A jak się tam najadłem. Szkoda gadać. A potem dalej na front. Ja naprawdę zapomniałem jak oni się nazywali... — wszyscy milknęmy.

— Teraz potrafimy się tym wzruszać — przerywa ciszę pan Jerzy Chelmiński — ale wtedy nie było na to czasu. Mysłeliśmy, że to resztki na-

— Nieprawdą jest to, co pokazują w filmach. Jakies nuciennie piosenek w okopie. Kompletne bzdura! ... Śpiewać można było po wojnie...

— Człowiek się tyle tych okropności napatrzył. Opowiedzieć wam coś? Tylko pamiętajcie, że jestem starym człowiekiem i się wzruszam. Wchodzę do Lublina. Jestem na terenie obozu w Majdanku. Nie będę opowiadał jak wyglądał sam obóz. Ale co mi utkwiło w pamięci? Rów, duży, taki szeroki jak ten pokój. Na dnie tego rowu leżały zwłoki tych, których nie zdążono jeszcze spalić. Po przeciwnej stronie tego rowu kobieta. W naszym mundurze. Ma długie siwe włosy. Siedzi jak zamarmoty. Siedzi i patrzy... Nie pamiętam w jakim była stopniu. Patrzyła martwo przed siebie.

I znowu cisza. Brakuje słów.

— A potem dalej, pamiętasz Jurek? Puławy, Dęblin. I słuchajcie... Warszawa się paliła. Było widać chmurę... Pamiętasz? Dym i ogień. Dzień i noc... I myśmy tam szli...

Z drugą dywizją byłem w Zoliborzu. Siedem dni. Dwukrotnie przepłynąłem Wisłę. Raz, normalnie z desantem, drugi raz już po ewakuacji. Wieczorem wydawało nam się, że słyszymy z drugiego brzegu jakieś polskie głosy. Mysłeliśmy, że to resztki naszych żołnierzy. Popłynąłem z



ZYCIE SKŁADAMY WSPÓLNIE W BOJERZE
NIECH KRZEPNIE W BOJU BRAINIE PRZYMIERZE

— Trzeba przyznać, że im tam szeroko, nasz brzeg był się to udawało. Przecież w pierwszym odruchu... wystarczyłoby pepeczyć i posunąć im serię. Ale w człowieku drzemie... człowiek. Dostali się do niewoli. A co tam z nimi dalej...

— A sam moment dotarcia

choć nigdy tego nie robiliem, poszedłem go zobaczyć. Nie wiem dlaczego, taki odruch... Było ciemno, nie miałem żadnej lampki. Coś tam namacałem, ale... leżało ich wielu. Nie odnalazłem go. Zaraz potem trafiliem do szpitala. Ale Andrzej widział kapitulację Berlina.

— Wszyscy nas zawsze pytają, o której to było godzinie, w jakich okolicznościach. A ja nie wiem! Nie pamiętam! Zresztą to nie stało się jakoś nagle. Przez kilka godzin strzaly powoli uciwały. Wpiew artyleria, potem moździerze, na końcu karabiny. I nastąpiła taka straszna cisza. Aż zdawało się, że uszch. To był prawdziwy koniec.

Cisza, oczywiście symbolizująca — wystrzaly, wybuchy min słyhać było jeszcze przez wiele dni.

Ale wojna już się właściwie skończyła.

— Koniec wojny zastał Panów w szpitalach.

— Leżałem w szpitalu polowym na terenie Niemiec — wspomina pan Jerzy Chelmiński. — Właściwie nie pamiętam kiedy się o tym dowiedziałem. Byłem przecież ciężko ranny. Do dzisiaj słyszysz szum w prawym uchu. To moja „pamiątka” z Berlina.

— Ja miałem więcej szczęścia. Leżałem w podziemnym szpitalu, a wiadomo — informacje tego typu szybciej docierały do stolicy, niż na linię frontu.

Kto tylko mógł chodzić, wszyscy stali na balkonach i strzelali w powietrze. Ja również wałem w chmurę podtrzymywany przez przestraszona pielegniarkę... Zupełnie jak w filmie.

Wspomnieniom przysłuchiwali się

BOLESŁAW BUDZICZ
i PRZEMYSŁAW OSUCHOWSKI

ANDRZEJ KAROL SŁOWIKOWSKI — ukończył studia medyczne w Krakowie (gdzie mieszka do dzisiaj). Jest już na emeryturze. Pracuje jeszcze na pół etatu w Szpitalu im. Narutowicza. Ma tytuł Zasłużonego Lekarza PRL. Od lat zbiera dzieła sztuki. Jego kolekcja jest znana w kraju i poza jego granicami.

JERZY CHELMINSKI — po wojnie osiedlił się w Krakowie. Ukończył Wydział Politechniczny Akademii Górniczo-Hutniczej im. Staszica w Krakowie. Obecnie już jest na emeryturze.



Berlin zdobyty

do morza. Czy wyglądało to rzeczywiście tak, jak w filmach: żołnierze biegnący przez plażę, strzelający w powietrze?

— Pamiętam tylko zdziwienie. Pierwszy raz zobaczyłem tak dużo wody. Nad morzem nigdy dotąd nie byłem. Oczywiście — sprawdziłem czy jest skona. Ale była gorzka. Dojście do morza kosztowało nas zbyt wiele.

Przypominam sobie inny epizod ze zdobywania Kołobrzegu. Walczyliśmy o kościół św. Jerzego. Wielokrotnie przechodził z rąk do rąk. Kiedy za którymś razem, musieliśmy się wycofać, na chórze został młody chłopak. Przez dłuższy czas słyhać było strzaly. Ciągłe się bronił. Przybiegli do nas jego ojciec — tak, tak, ojciec i syn walczyli w jednej kompanii — i błagali o pomoc. Zrobiliśmy taki półprywatny wypad. I proszę sobie wyobrazić, udało nam się go odbić.

Dzisiaj ten rejon miasta wygląda zupełnie inaczej. Nie ma kościoła ani przylegającego do niego cmentarza. Stoją tam chyba jakieś domy wczasowe.

— Później posłaliśmy nad Odrę. Forsowaliśmy ją pod Kustrzynem. Rzeka rozlewa się

czyłem tylko lej powoli wypełniający się mętną wodą. Po żołnierzowi nie został najmniejszy nawet ślad. To był jeden z tych, o których się mówi: zaginiony.

Im bliżej zwycięstwa, tym mniej nas było. Ciągłe ktoś ginął.

— Czy wcześniej, na przykład w partyzancie, myśleliście Panowie, że dostrzecie do samego Berlina?

— Wtedy było to zbyt abstrakcyjne. Nie myślałem o pokonaniu Niemiec. Liczyłem się aktualny cel, grupki ludzi, za których się odpowiadałem. A poza tym śmierć ciągle była tak blisko. Jeżeli czasem zastanawiałem się co będzie po wojnie — były tylko jakieś krótkie migawki. Na przykład, że pójdę na ciastka na Marszałkowską.

Dopiero w ostatnich dniach, już w Berlinie zaczęliśmy poważnie myśleć o domu, o rodzinie.

Pamiętam jednego sierżanta, był dużo starszy od nas. Przeszedł cały szlak od Leningradu do Berlina. Przeglądał z nim o domu którąś noc. To już były ostatnie dni. I rano dowiedziałem się, że nie żyje. Nie chciałem wierzyć. Powiedziano mi, że leży w piśstrzynie. Rzeka rozlewa się

Trzy rzeczy warunkują zwycięstwo: broń, kuchnia i morale żołnierzy. Frontowe wygi skłonne są jednak odwrócić kolejność czynników, przemieniających kompanijną łajzę w bohatera, i postawić morale na miejscu pierwszym, jako że to właśnie ono decyduje o właściwym użyciu oręża i mocy, zawartej w świńskiej zwłaszcza tuszonce. (Tu informacja dla Czytelników młodszych pokolenia: świńska tuszonka, a w zachodnich formacjach corned beef, były najwyżej cenionymi konserwami bojowymi ostatniej wojny.)

Od najdawniejszych już zatem czasów każdy dowódca dba o morale wojska jak o duszę własną. Relacje z zagrzewających do walki mów przekazał nam rzymscy historycy, choć ich wiarygodność bywa niekiedy podważana przez późniejszych i tym samym srodze przez tasien-cowe referaty doświadczonych badaczy. Istotnie, przydługie głośnienia wkladane przez Liwiusza, na przykład w usta Cezara, mogły odebrać jego słuchaczom chęć do jakiegokolwiek wysiłku, o boju nawet nie wspominając. Zatem taki Graves, powiedzmy, podważa Liwiuszowy przekaz o mowie Cezara przed bitwą z Pompeuszem pod Farsalos, pisząc: „może nas (t. j. żołnierzy) prosił, abyśmy wspomnieli na nasze żony i dzieci, na święte chramy Rzymu i chwałę dawnych bojców? Nic podobnego! Wyraził na pniać ściętej pinii trzymając w jednym ręku olbrzymią rządkiew, w drugim kawał twardego, żołnier-

skiego chleba i pogryzając żantował. Nie było to wybitne dowcipy, ale kawały co się zowie. Przypominał, jak to cnotliwe życie Pompejusza porównywanego z tego rozpustą. A co przy tym wyprowadził z tą rządkiew! Pękaliśmy ze śmiechu. Pamiętam tłustą anegdotkę tłumaczącą, w jaki sposób Pompeusz uzyskał przydomek Wielkiego. — Ach, ta rządkiew! Dopiero pod sam koniec zawał: biedny ten Pompeusz! Porwać się na Juliusza Cezara i jego ludzi! Z motyką na słońce!”

No i zmielił legiony Pompejusza i śpiewali pod jego okiem Cezara, a wśród nich zapewne dwuwiersz, rykany podczas jego triumfu nad Gallami: Wiedziemy z sobą do dom tyśego rypane! Rzymianie, żony wasze trzymajcie pod kluczem! co zanotował Swetoniusz.

Zatem już sam Cezar dbał o morale żołnierzy i jako legendarny wprost wódz i wzorcowej profesji dał receptę na jego podniesienie: mówić krótko, dosadnie i z humorem jeśli się da, no bo kto chce się łzawić przed walką? Zławsza zaś rodacy, którzy — jak podaje stara francuska encyklopedia — rzucali się na wroga z okrzykiem (w piosenki francuskiej) O iob wachom maili, co skądinąd stoi w pewnej sprzeczności z lansowaniem przez naszych historyków zawołaniem „za naszą i waszą wolność” bądź nawet „Jezus, Maria, Józef”, których nawet niedbali Francuzi nie potrafiliby chyba

Walczący PLAKAT

przekreślić w „O iob” itd. Cóż, od czasów rzymskich niewiele się widać w obyczajach dziejopisów zmienilo.

Frontowa propaganda ma więc stare tradycje i potrafi ich dobrze używać pod odmienną nawet postacią, w której krótką mowę do wódcy zastępuje plakat. Lecz czy istotnie jest on aż tak bardzo inny od swego pierwowzoru? Chyba nie, gdyż dobry plakat jest również okrzykiem i działa jak on. Tyle, że obrazem. Czyż zmykający przed naszymi bagnietami Hitler nie jest współczesną wersją zawołania „biedny ten Pompeusz! Porwać się na Juliusza Cezara i jego ludzi!” a ujęty w frontalnym skrócie żołnierz nad napisem „Idę” lub „Na Berlin” wymaga

długotrwałych objaśnień i żmudnego poszukiwania sensu przekazu?

Tak więc plakat towarzyszył żołnierzom II wojny i nie tylko im zresztą. Agitował podczas Wielkiej Rewolucji i I wojny, ośmieszał nieprzyjaciół w latach wojny prusko-francuskiej oraz paryskiej komuną i pod postacią grafiki walczył z okrucieństwem wojny trzydziestoletniej. Bo wszak walczący plakat jest grafiką najokrzyszłej, plebejskiej wody i jak ona, jak barokowe jeszcze łuboki i nasze renesansowe cykle „Dobrych sług”, informuje, propaguje idee i kształtuje świadomość najszerszych mas. Tak też był polski plakat frontowy ostatniej wojny. Powstał wraz z I Armią, zaś jego pierwszym — bo wtedy wszystko, lub niemal wszystko było pierwsze — twórcą był znany obecnie malarz, Włodzimierz Zakrzewski, wykształcony w pracowni plakatowej Okien TASSA, bezpośredniej spadkobierczyni prowadzonej jeszcze przez „Majakowskiego” podczas rewolucji pracowni Okien ROSTA. Z Moskwy Zakrzewski przenosi się do Lublina, gdzie działała już pracownia Karola Baranieckiego.

I tak to się zaczęło. W prymitywnych, wojennych warunkach i od prymitywnej techniki szablonu. No i od nauki: na pierwszych plakatach ręcznie doklejało oddzielnie drukowany tekst, gdyż nie potrafiono go odbijać równocześnie z obrazem. Malowano je również ręcznie przez szablon, bez zabawy w estetyczne

niuanse i smaczki, gdyż nie o to wtedy chodziło. Estetyka, piękno oraz inne pokrojowe fanaberie zostały racjonalne w kął przez ludzi znanych skądinąd ze swych estetycznych inklinacji, przez znakomitego zatem Tomaszewskiego, Bojke i samego Trepkowskiego nawet.

A jednak właśnie w nim, właśnie w walczącym plakacie frontowym, powstały załaski sławnej i pięknej „polskiej szkoły plakatu”, szkoły skrótu myślowego, siły wyrazu i celnej metafory.

O czym tu zresztą pisać. Ci z Państwa, którzy — podobnie jak ja — widzieli na murach owe świetliste papiepu, muszą również pamiętać ich działanie. Ich odwrótnie do prostego pomysłu, formatu i topornego wykonania proporcjonalną siłę, wynikała z aktualności i prawdziwego zapotrzebowania. No bo ktoż nie zgadzał się, na przykład, z obrazkiem przedstawiającym kółkę godzącą w łeb esesmana i napisem „Bij gada!”

JERZY MADEYSKI

Reprodukowane plakaty pochodzą ze zbiorów Muzeum Historii Polskiego Ruchu Rewolucyjnego w Warszawie i ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Zaczepiliśmy je z książki Krzysztofa Pola „Pracownia plakatu frontowego”, KAW Warszawa 1980. Autorami prezentowanych plakatów są: Włodzimierz Zakrzewski oraz Mieczysław Tomkiewicz („Chwała bohaterom”).

W przededniu rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem

Patriotyczna manifestacja społeczeństwa Ziemi Odzyskanych z udziałem Wojciecha Jaruzelskiego i Henryka Jabłońskiego

W 40. rocznicę powrotu ziem zachodnich i północnych

WROCŁAW (PAP). Prastary polski Wrocław był we wtorek, 7 bm., miejscem centralnych uroczystości 40. rocznicy powrotu ziem zachodnich i północnych do macierzy. Przepelniała je głęboka patriotyczna świadomość przelomowego wymiaru wydarzeń sprzed 40 lat, niezlomne przekonanie o tym, że historyczne prawo Polaków do tych ziem potwierdził ogromną pracą wnieśli w ich odbudowę i rozwój. Refleksję tej towarzyszyła myśl o potrzebie umacniania pokoju, dzięki któremu zbudowaliśmy po wojnie nowe życie.

W uroczystościach wzięli udział członkowie najwyższych władz partii i państwa z I sekretarzem KC PZPR, premierem, gen. armii WOJCIECHEM JARUZELSKIM i przewodniczącym Rady Państwa HENRYKIEM JABŁOŃSKIM. We Wrocławiu gościła tego dnia delegacja ZSRR z członkiem Biura Politycznego, sekretarzem KC KPZR — NIKOLAJEM RYŻKOWEM.

Kulminacyjnym momentem obchodów 40-lecia stała się wielka manifestacja społeczeństwa ziem zachodnich i północnych w Hali Ludowej.

Hala Ludowa — odświętnie udekorowana, po jej bokach herby miast województwa, które 40 lat temu przywrócone zostały Polsce. Jedno z hasel głosi: „Byliśmy, jesteśmy, będziemy!”. W centralnym miejscu hali — biały orzeł.

Na uroczystości przybyło kierownictwo partii i państwa z I sekretarzem KC PZPR, premierem, gen. armii WOJCIECHEM JARUZELSKIM i przewodniczącym Rady Państwa HENRYKIEM JABŁOŃSKIM, członkowie kierownictwa sojuszników stronnictw z Romanem Malinowskim i Tadeuszem W.

Młynickim, marszałek Sejmu Stanisław Gucwa, przewodniczący Rady Krajowej PRON — Jan Dobraczyński.

Zebrani serdecznie powitali delegację ZSRR z członkiem Biura Politycznego, sekretarzem KC KPZR — NIKOLAJEM RYŻKOWEM.

Obecni byli ambasadorzy państw socjalistycznych. W manifestacji wzięli udział reprezentanci wszystkich pokoleń, kombatanaci, weterani walk, pionierzy i osadnicy, młode pokolenie. W uroczystości uczestniczyły delegacje

z 14 województw położonych nad Odrą, Nysą i Bałtykiem. Wszystkich przybyłych serdecznie powitał I sekretarz KW PZPR — Zdzisław Baliński.

Następnie przemówienie wygłosił I sekretarz KC PZPR, premier, gen. armii Wojciech Jaruzelski (tekst — przemówienia zamieszczamy poniżej).

Uczestnicy manifestacji z uwagą wysłuchali przemówienia członka Biura Politycznego, sekretarza KC KPZR — NIKOLAJA RYŻKOWA, który wyraził wdzięczność Polakom za pamięć, jaką otaczają mogli

ponad 600 tys. żołnierzy i oficerów Armii Radzieckiej spoczywających na cmentarzach wojkowych na polskiej ziemi.

Szczególnym momentem manifestacji było wystąpienie honorowego gościa Wrocławia, pierwszego prezydenta Szczecina prof. Piotra Żaremby, który przywołał osobiste refleksje z lat, gdy piastowskie ziemie wracały do Polski, gdy prawowici gospodarze obejmowali je w swe władanie. Z jego słowami współbrzmiało przemówienie przedstawiciela młodego pokolenia, przedującego górnik z kop. „Łubin” Kazimierza Płazy, który zapewnił, że młodzi Polacy nie będą szczędzić trudu i ofiarności, by pomnożyć dzieło swych matek i ojców, przyczyniając się do pomyślności socjalistycznej ojczyzny.

Integralną częścią uroczystości było widowisko artystyczne „Stad nasz ród”.

Podniosłym momentem uroczystości obchodów we Wrocławiu 40. rocznicy powrotu ziem zachodnich i północnych do macierzy stało się złożenie

wieńców na cmentarzach Wojska Polskiego na Grabiszynku oraz cmentarzu oficerów Armii Radzieckiej.

Hołd poległym oddali członkowie najwyższych władz partyjnych i państwowych z I sekretarzem KC PZPR, premierem, gen. armii Wojciechem Jaruzelskim i przewodniczącym Rady Państwa Henrykiem Jabłońskim. W uroczystościach uczestniczyła delegacja ZSRR pod przewodnictwem członka Biura Politycznego, sekretarza KC KPZR — NIKOLAJA RYŻKOWA.

W ceremoniach uczestniczyli licznie przedstawiciele wrocławskich zakładów pracy, młodzież. Kwiaty na grobach oficerów radzieckich złożyły delegacje wszystkich województw, które przed 40 laty powróciły do macierzy.

Odegrano hymny Polski i ZSRR; warty honorowe zaciągnięli żołnierze polscy i radzieccy.

W godzinach południowych członkowie kierownictwa par-

Spotkanie przedstawicieli Konsulatu ZSRR z dziennikarzami

(Inf. wł.) Z okazji 40. rocznicy zwycięstwa nad hitlerowskim faszyzmem w Klubie Dziennikarzy „Pod Gusz-” w Krakowie odbyło się spotkanie z dziennikarzami z konsulatu ZSRR. Wzięli w nim udział przedstawiciele krakowskiego środowiska dziennikarskiego, z przedstawicielami Konsulatu Generalnego ZSRR w Krakowie oraz Agencji Prasowej „Nowosti”. Uczestniczyli w nim m. in. konsul Konsulatu Generalnego ZSRR w Krakowie Enn Liimets oraz wicekonsul Władimir Kukurka. W imieniu konsula generalnego i swoim własnym Enn Liimets przekazał dziennikarzom Oleg Kulesz.

Wydawnictwo „Akademie – Verlag” w Ośrodku Kultury i Informacji NRD

(Inf. wł.) „Jest to dla nas wielki zaszczyt i radość, że właśnie w Krakowie w przeddzień rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem nasze wydawnictwo może zaprezentować tutaj swój dorobek — powiedział prof. Lothar Berthold — dyrektor berlińskiego wydawnictwa „Akademie – Verlag” — otwierając wczoraj w krakowskim Ośrodku Kultury i Informacji NRD wystawę najnowszych i najlepszych pozycji wydawnictwa. Wydawnictwo to obejmuje swoim zakresem całością kształt osiągnięć naukowych naszych zachodnich sąsiadów. (DOKOŃCZENIE NA STR. 4)

Czterdzieści lat temu urzeczywistnił się testament wielu polskich pokoleń

Przemówienie Wojciecha Jaruzelskiego wygłoszone podczas manifestacji we Wrocławiu

Główny ciężar wojny nosiła Armia Radziecka. Na wyzwolonych przez nią ziemiach z rak radzieckiego komendanta polski starosta, prochy wojewoda, przejmował władzę. Tutaj spoczywają prochy blisko dwustu tysięcy czerwonoarmistów. Polegli w walce z wrogiem wszystkich narodów Europy. Lecz w naszych oczach oddali życie za polską sprawę, za nasze historyczne prawo powrotu.

Związek Radziecki był jedynym wśród uczestników wojennej koalicji, który poparł Polskę na arenie międzynarodowej. Jedynie polska delegacja, na wniosek strony radzieckiej, znalazła się na konferencji wielkiej trójki w Poczdamie — tam, gdzie decydowały się losy i granice powojennej Europy. Uzyskaliśmy możliwość skutecznej obrony swych racji, przybysząc z trzema beczkami atomami.

Pierwszym było sojusznicze poparcie Kraju Rad, podbudowane zawartym trzy miesiące wcześniej układem polsko-radzieckim. Żadne inne ugrupowanie polskie takiego poparcia wówczas nie miało i mieć nie mogło.

Drugim naszym atutem była walka i krew polskiego, ludowego żołnierza. Stał on zbrojnie na wywalczonych granicach. Miał za sobą moralny mandat walki naszego narodu, jego udziału w zwycięstwie nad faszyzmem. Polska nie musiała tłumaczyć się z kolaboranckich reżymów, z Petainów, Quislingów i Degrelle'ów z ochotniczych legionów SS. Nasza karta była czysta. Ani jeden ze zwycięzców nie mógł powątpiewać, po której stronie Polska w tej wojnie stała.

Trzecim atutem były fakty dokonane — narastająca w szybkim tempie polska obecność, zaradność i upór w przywracaniu do życia tych ziem. Kłosiło się już ziarno z pierwszego polskiego siewu. Odkazywały miasta, ruszały fabryki. W Poczdamie nie byliśmy, jak niegdyś w Wersalu, czekającym na zmiłowanie potentem. Wzorem ideowym, klasowym sojusznicy, towarzyszyła wspólnota interesów państwowych ludowej Polski i Kraju Rad.

Związek Radziecki potrzebował wtedy i potrzebuje dziś — Polski silnej, bezpiecznej, zaprzyjaźnionej. Dlatego popierał i konsekwentnie popiera nasze prawa do ziem zachodnich i północnych. Wielokrotnie dowodził, że leży to także w żywotnych interesach narodu radzieckiego.

Ze swej strony Polska potrzebowała i potrzebuje niezmiennie przyjaźni swego potężnego sąsiada. Jego pozycja we współczesnym świecie, stawała się podstawową gwarancją naszej na tych ziemiach obecności, leży w najważniejszych interesach naszego narodu.

Jakże odmiennie odnosiły się wtedy do nas mocarstwa zachodnie. Raz jeszcze usiłowały one sprowadzić Polskę do roli pionka w swych globalnych rozgrywkach. Nie ostryły wojenne zniszczenia, a już bankierzy, generałowie i politycy Zachodu zaczęli się leć, że Polakom powiodło się za dobre, że osłabła nadmiernie pupilla światowego imperializmu — niezadowolone milicje niemieckiej maszynierii.

Potwierdza to dobitnie dzisiejszy dzień. Biturski wieńiec hańby — to amerykańskie rozróżnienie, a jednocześnie to przepustka, zachęta dla sił reakcji i odwetu. To groźny przykład sprzegania imperialnych celów Waszyngtonu z wielkogermańskimi aspiracjami w Bonn.

Dla każdego Polaka to polityczna lekcja, wezwanie do czujności, sygnał alarmowy. W tej samej wrocławskiej fluszczy — pytamy pseudo-patriotów i kosmopolitów, zasieplonych, zapętlonych wrogów socjalizmu: Kto sprawił, że naród polski ocalał? Czyja to walka pozwalała nam nie chodzić dziś po Gdańsku, Szczecinie i Opolu z literą „P” na piersiach? Czyja to zasługa, że nie musimy odkrywać głowy i ustępować miejsca na chodniku przedstawicielom „ras” państw? Kto na tych ziemiach i z czyjego nadania rozwinął wśród ruin pierwsze białe-czerwone flagi, przybijał polskie nazwy ulic oraz drogowskazy?

Ze zdwojoną jasnością widać dziś, że antyradzieckość, antysocjalistyczna obsesja prowadzi nieuchronnie do działań na szkodę Polski — jednej, która łącznie i łącznie będzie naprawdę.

Szanowni zebrani!

Polska od Bugu po Odrę jest jedna, jednolita, niepodzielna. Ziemię zachodnią i północną stanowią organiczną część Rzeczypospolitej. Nie ma już chyba ani jednego młodego obywatela, który umiałby wskazać w terenie przebieg przedwojennej granicy. Nikt już nie zna wykoślawionych, zniemczonych nazw.

Przyszło nam ostatecznie dokonać długotrwałych procesów ludnościowych na tych ziemiach. Od dziesięcioleci występowało tu zjawisko przez samych Niemców nazywane „ost-flucht” — ucieczka ze Wschodu. Druga fala, podczas wojny wypychała jeszcze bardziej niemiecką obecność. Jedni z leku przed odpowiedzialnością, inni z rozkazu gauleiterów wyjeżdżali stąd, zanim jeszcze pojawił się pierwszy polski i radziecki żołnierz.

W maju 1945 roku na odzyskanych przez Polskę terenach pozostał załadowy co trzeci mieszkaniec spośród społeczności, która niedługo zamieszkała te obszary.

Zgodnie z postanowieniami poczdamskimi dokonane zostało przesiedlenie reszty ludności niemieckiej. Z nawiązką wykonałami wszystkie międzynarodowe zobowiązania w zakresie repatriacji i łączenia rozdzielonych przez wojnę rodzin. Tym samym problem niemieckiej mniejszości narodowej w Polsce przestał istnieć ostatecznie. Ten rozdział jest zamknięty na zawsze!

Nie kierowało nami pragnienie zemsty. Rozumiemy dziś i rozumieliśmy wtedy, że konieczność opuszczenia rodzinnego domu była dla wielu Niemców ciężkim przeżyciem. Niektórzy towarzyszyło jej zrozumiałe ludzkie cierpienie. Nikt jednak nie ma prawa zrównywać tego z bezprzykładną

geheną naszego narodu. To nie on tę wojnę rozpoczął. To na polskich ulicach odbywały się publiczne egzekucje. To Polaków wysiedlano brutalnie z „Kraju Warty”, z Pomorza i Łodzi z jednym węzłem w dłoni. To nam groźba biologicznej zagłady zajaśniała w oczach.

Kto to zbrodnie pomniejsza, kto historię cynicznie manipuluje — ten w Polsce, wśród Polaków, nie ma czego szukać.

Szanowni zebrani!

Nie przyszliśmy tu dopiero z bronią w ręku. Zanim jeszcze objeśliśmy tę ziemię w posiadanie wsiadali w nią przez wieki polski pol.

Jedził po sezon werbowany na „saksy” do junkierskich włości polski bezrolny chłop. Wnosił niemieckie fabryki, budował drogi i mosty polski niewolnik wywołany na przymusowe roboty, wyszukiwany jak w średniowieczu, przybawiony elementarnych ludzkich praw.

Dziedziczyliśmy piastowską schedę straszliwie okaleczoną. W gruzach leżały praktycznie wszystkie większe miasta. Głogów był zniszczony niemal w 100 procentach. Kolobrzeg — w 80, Wrocław, Szczecin i Legnica — w 65, Gdańsk w 55. Olsztyn w 50 procentach.

Trzy czwarte obiektów przemysłowych, dwie trzecie linii kolejowych, nie nadawało się do użytku. Zatonione zostały przez hitlerowców żyłne Żukawy. Brakowało wszystkiego — maszyn i lokomotyw, mleka i chleba, światła i opału. Praca ponad ludzkie siły czekała przybyszących tu Polaków.

Są w tej sali starzy i młodzi. Są ci, których metryki urodzenia spisują jeszcze w obcych językach i ci, dla których polskie godło narodowe na urzędowym dokumencie urodzenia w Pile, Mragowie czy Zaganiu wydaje się naturalne i oczywiste. Wszyscy jednak — albo z własnego doświadczenia, albo z rodzinnego przekazu — znają na pamięć polską sege pionierską, naszą wspólną narodową metrykę.

Sprawa honoru, sprawa życia i śmierci, stało się dla naszego narodu zasiedlenie i zagospodarowanie tych obszarów.

Władza ludowa nadała temu zadaniu rangę najwyższą. Na czele specjalnie powołanego resortu stanął Władysław Gomułka, ówczesny sekretarz generalny Komitetu Centralnego Polskiej Partii Robotniczej. Partia wzięła na siebie główny obowiązek. Z jej inspiracji utworzono w kwietniu 1945 r. Centralny Komitet Przemieszczalni. Zorganizowano grupy operacyjne, które ułady się na ziemie zachodnie i północne, aby budować zrabę administracji i przemysłu, szkolnictwa i kultury. Zaradność i ofiarność delegatów władzy ludowej, pracowników Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, przyczyniły się do sprawnego osiedlenia milionów ludzi.

W maju 1945 roku Komitet Centralny PPR skierował tu około 25 tys. członków partii. W akcji tej współdziałali z nimi członkowie Polskiej Partii Socjalistycznej, Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego.

Nie PSL-owcy „przeczekiwali”, nie „matadorzy szabru” Polskę tu budowali. Wznosili ją ci, co o kromce czarnego chleba dźwigali z ruin Paławag, orali pierwsze skiby wśród zaminowanych pól.

„Szlaki na zachód osadnicy”. Szły miliony repatriantów. Tych z Bugu i tych z Kielecczyny, Kurpi i Podhala, Tych z Oki i Urzulu, ale i tych z zachodu, z francuskiego Nordu, z ziem włoskiej, ze Szkocji.

Najwcześniejsi byli żołnierze 1 i 2 armii. Jakże często za cenę życia saperzy rozminowali i oczyszczali z pocisków, z materiałów wybuchowych miliony hektarów ziemi, tysiące kilometrów dróg, linii kolejowych, mostów i osiedli. Napisy „mim nie ma” i „mim nie!” były nieodłącznym elementem ówczesnego krajobrazu.

Polska epopeja, wspaniałe zorganizowanie, owocny trud, to nadal żywa, choć ciągle jeszcze za mało znana część naszych dziejów.

Jeden z tygodników ogłosił niedawno konkurs na dokumentalne zdjęcia z tamtych niezwykłych lat. Spoglądaliśmy w twarze nieznanych, bezimiennych bohaterów, zwiadowców polskości. To oni, nieraz głodni i wynędzniali, z białoczarową opaską na wyszarżonym policie, nierzadko w dziurawych butach, złożyli w tej ziemi fundamenty, na których socjalistyczna Rzeczpospolita budowała swą trwałość i moc.

Chyląc czoło nad wielkopomnym dziełem pionierów tych ziem, ludzi pracowitych, uczciwych i ofiarnych, pamiętamy, że właśnie nad Odrą i Nysą, sprawdziło się w całej pełni ludowe przysłowie: zgoda buduje.

Też tu spotykało się grup społecznych, dialektów, obyczajów, wierzeń i poglądów. Wielka dokonała się praca. Tu już wszyscy są „sami swoi”. Powstał zintegrowany uszlachetniony stop. To, co wielu innym narodom zajmowało stulecie i do dziś jeszcze trwa — u nas dokonało się za życia jednego pokolenia.

Jest w tym polskim sukcesie szczególny udział zahartowanych działaczy robotniczych, komunistów i socjalistów, ludowców i demokratów, patriotycznych księży, którzy wbrew antypolskiemu uporowi Piusa XII powołałi tu swą duszpasterką, patriotyczną działalność. Jest udział milionów bezpartyjnych obywateli, którzy w tamtych latach nie pytali, czy ludowa Polska jest „dobra” czy „zła”, lecz pracowali dla niej z całym siłą, bo po prostu była i jest Polska.

W codziennej pracy narodu rodziła się tu, wykrywała i sprawdzała koncepcja najszerzego frontu narodowego. Niechaj pamięć o tamtych latach zajaśnieje nowym blaskiem. Porozumienia, wspólnego działania najpilniej dziś Polsce potrzeba.

Wrocławianie!

Mieszkańcy wszystkich ziem po wiekach odzyskanych!

Towarzysze i Obywatele! Weterani i Pionierzy! Mieszkańcy Wrocławia!

„Rozpadał się w proch i w pył krzyżacki zawierucha”. Czterdzieści lat temu dobiegł kresu zbrodniczy żywot III Rzeszy. Dopiełnia się dziejowa sprawiedliwość.

Wróciły do ojczyzny zagrabione — Warmia, Powiśle, ziemia Złotowska i lubuska. Wróciły wydarte w plebscytoch matactwach polacie Mazur i Śląska. Wrócił Gdańsk — „miasto nasze”, Bałtyk od Mierzei Wiślanej po ujście Odry zaczął znów służyć Rzeczypospolitej.

Zniknęły na zawsze „Prusy Wschodnie” i „Prusy Zachodnie”, elektorskie i księżęce. Urzeczywistnił się testament wielu polskich pokoleń. „Drang nach Osten” zepchnięty został aż za Łabę.

W tysiącletniej historii naszego państwa był to sukces bezprzykładny, porównywalny tylko z Grunwaldem, pomnożony wszakże o tę przemożność, której z początkiem XV wieku w Polsce zabrakło: o rozumne wykorzystanie i mocne ubezpieczenie owoców zwycięstwa.

Przez Europę od stuleci przetaczał się w różnych kierunkach burzliwy nurt. Znosił państwa i granice, spłatał i rozdzierał narody. Niewiele jednak było przykładów, aby powracał w dawne, wyżłobione przez historię łożysko.

Nam, Polakom, udało się to osiągnąć. Ale nasz powrót nie był łaskawym darem losu. Wyrósł z najsilniejszego w nowożytnych dziejach narodu zwrotu w klasowym charakterze państwa. Był logicznym następstwem tego, że staneliśmy po rewolucyjnej, postępowej stronie historycznych przemian.

Nie przyszliśmy tu na cudze. O polskości tych ziem świadczyły piastowskie orły na ratuszach, polskie nazwiska na cmentarzach nagrobkach, nazwy wsi i archiwalne dokumenty. Prawie półtora miliona rdzennych mieszkańców przechowało tu wiernie czystą mowę, kulturę, obyczaj. Doczekali złączenia z macierzą. Odeszły w przeszłość i te lata, gdy za nadgorliwą głupotą szła czasem i ludzka krzywda.

Wiry dziejowe odłamały niejedną gałąź z polskiego pnia. Pruskie rugi, bismarckowski kulturkampf, przesładowania Hakaty, brutalny terror hitlerowski, zniemczyły część prawowitych, odwiecznych gospodarzy tej ziemi. Lecz korzenie wielkiego drzewa pozostały.

Zwracam się dziś z szacunkiem i serdecznym pozdrowieniem do uczestników wytrwałej, przez wieki toczącej walki o polskość. Jesteście u siebie, w swoim domu — pośród dzieci i wnuków, którym dane było urodzić się w wolnej, niepodległej Polsce.

Szanowni zebrani!

Imperializm niemiecki zawsze, przez całą swą historię, wyrządził nam krzywdy bezmierne. Był i pozostaje nieprzejednanym wrogiem Polski. Jego ponure dziedzictwo ciężko spłamiło niemie. Legło głębokim cieniem między naszymi narodami.

Kierujemy się jednak zawsze klasowym, marksistowskim punktem widzenia. Nie twierdzimy, że niemieckość to synonim zła. Ten pracowity, utalentowany naród wniósł do europejskiej nauki i kultury wartości trwałe i uniwersalne. Wydał wielkich uczonych i myślicieli, kompozytorów i poetów. Był kolebką ruchu robotniczego.

Godną najwyższego szacunku jest postawa niemieckich komunistów i antyfaszystów. Oni pierwsi padli ofiarą hitlerowskiej tyranii, pierwsi zapełnili obozy koncentracyjne.

Z czystych tylko źródeł czerpać można impuls do prawdziwego pojednania i rzetelnej przyjaźni. Pragniemy jednego i drugiego.

Takie właśnie są stosunki między Polską Rzeczpospolitą Ludową i Niemiecką Republiką Demokratyczną — pierwszym w dziejach państw niemieckich, które przekroczyło przekleństwo przeszłości, zgubną politykę ekspansjonizmu. Uznało bez zastrzeżeń decyzje poczdamskie, w tym naszą granicę zachodnią czego dobitnym wyrazem jest podpisany prawie 35 lat temu Układ Zgorzelecki.

Lata przyjaznego sąsiedztwa i bliskiej współpracy gruntownie wzajemne zrozumienie, umocniły więzi. Szczególnie cenne są, tak obecnie masowe, kontakty młodzieży obu krajów. To dobry, obiecujący model współpracy na dziś i na jutro.

Historia nauczyła nas słuchać uważnie. Stąd też i na zachód od Łaby dostrzegamy nie tylko rzeczników odwetu, nie tylko rewizjonizm i militarizm. Doceniamy stanowisko tych wszystkich, którzy pomni nauk II wojny światowej uznają nieodwracalność istniejących realiów. Na tej, lecz tylko na tej płaszczyźnie gotowi jesteśmy do dialogu. Dowiedliśmy tego po wielokroć. O przeszłości nie zapomnieli. O przyszłości pora rozmawiać wspólnie.

Towarzysze i Obywatele!

Jeszcze hitlerowska machina śmierci pracowała na pełnych obrotach, kiedy Polska Partia Robotnicza oraz Związek Patriotów Polskich kreśliły program głębokich społecznych przemian. Wielkiej narodowej przeprowadzki. Nie w Waszyngtonie i Londynie, lecz w Moskwie i okupowanej Warszawie nabierał on realnych kształtów, uzyskiwał konkretne gwarancje.

W przeszłości nie brakło w różnych obozach politycznych ludzi światłych, upominających się o tak zwane „kresy zachodnie”. Dostrzegali oni historyczne i gospodarcze konieczności powrotu Polski na zachód od Warty. Nawet podczas hitlerowskiej okupacji prowadzone były studia w tej dziedzinie, gromadzona cenna dokumentacja. Lecz nieodłącznie towarzyszyła temu jednokarna niemoc.

Nasza partia, rewolucyjna lewica znalazła w sobie dość mądrości i siły, aby przerwać pasmo klęsk narodowych, zważenia ze słowiańskimi sąsiadami, spychania Polski z zachodu na wschód. Historyczny przełom w stosunkach z socjalistycznym mocarstwem zapewnił warunki dla urzeczywistnienia wizji o jakiejś marzycy pokolenia. Tylko bowiem ludowa Polska mogła się oprzeć o Odrę i Nysę, odzyskać „wiatr od morza”. Taką jest prawda elementarna. Innej prawdy o naszym tu powrocie nie ma.

Wtedy właśnie żołnierz polski zapisał w dziejach narodowego oręża jedną z najchlubniejszych kart. Przelewał obficie swą krew. Zdobywał Wał Pomorski, Kolobrzeg i Gdańsk, forswał Odrę i Nysę Łużycką. Na nowo stawiał wyrwane przed stuleciami słupy graniczne.

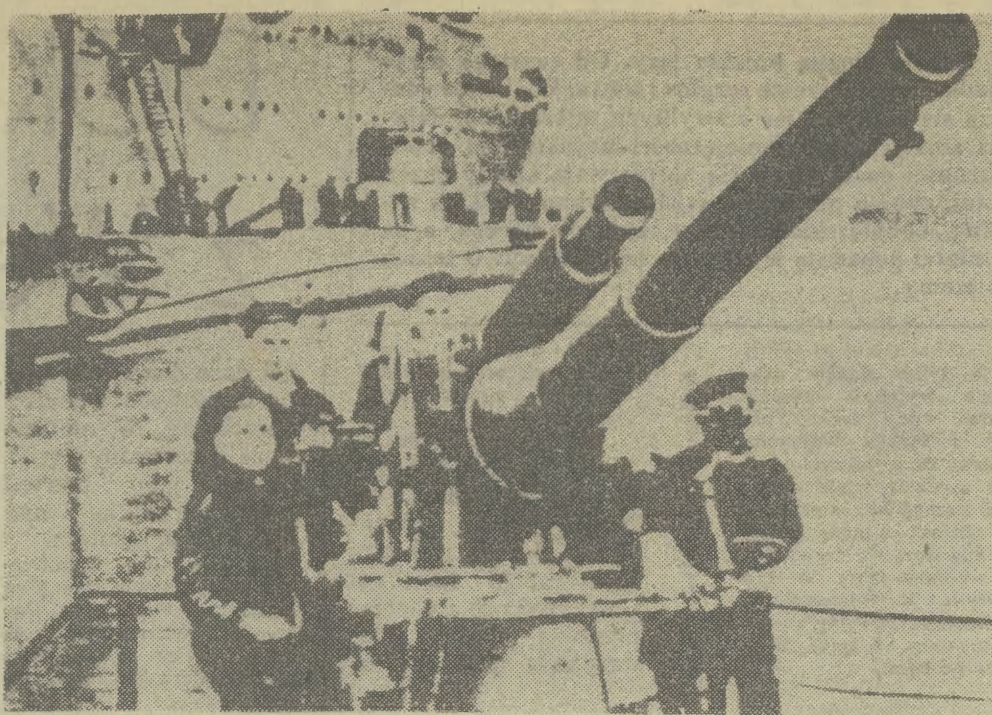
Niech rozkwiata piastowska ziemia!

Niech się umacnia socjalizm!

Niech żyje Polska!

We wrześniu 1939 roku skończył 32 lata. Miał już za sobą okres pełnej temperatury młodości, a także poważne przeżycia osobiste. Szedł na wojnę jako człowiek doświadczony zarówno w życiu, jak w rzemiośle marynarskim. Opanował też arkan podwodnego pływania w stopniu dostatecznym, aby

tu Niemcy wykończą, bo korytarza obronić się nie da. A mój rynek nasz to stosunku do niemieckiej jest jak 1 do 50. Zał mi się zrobiło moich Rodziców. A swoją reakcją na list ojca przedstawił w następujących słowach: „Zostałem rozprzeszany. Mam błogosławieństwo i podjęte do postępowania bez oglądania się na nic. Jestem



A więc wojna! Nieubłagana, straszna prawda

kmdr ALEKSY CZERWIŃSKI
kmdr por. BOHDAN MAŃKOWSKI

Wspomnienie o komandorze poruczniku Borysie Karnickim (1907 — 1985)



sprostą zadaniom i odpowiedzialności zastępcy dowódcy okrętu podwodnego. Trzeba bowiem nie lada kunsztu, aby utrzymać w stałym posłuszeństwie tak wspaniałe, ale zarazem krnąbrny i kapryśny organizm jakim jest okręt podwodny. Jest on groźny dla najpotężniejszych pancerników i krążowników, ale wymaga ustawicznej troski o sprawność licznych, delikatnych mechanizmów, a poza tym jest prawie bezbronny wobec młotów, szybkich jednostek. Okręt taki, aby skutecznie działać, potrzebuje bazy zapewniającej wszelkie naprawy, zaopatrzenie, wypoczynek. Nie mógł na to liczyć ORP „Wilku”, podobnie jak wszystkie polskie okręty w 1939 roku. Po zostawieniu w ręku niemieckich, straszliwie, inwencji i determinacji żałę.

Oprócz umiejętności marynarskich, kapitan Borys Karnicki wyruszył na wojnę zaopatrzone w beczenny skarb tradycji oraz polskości, w którym był wychowywany nie tylko w szkole morskiej, ale też od najmłodszych lat w domu rodzinnym. Przed samą wojną otrzymał list ojca (nawiasem mówiąc wydarzenie niezwykle, bo cała korespondencja utrzymywała matkę), zakończony słowami: „Co do Ciebie kochany synu, jeżeli konflikt będzie rozstrzygnięty wojną, trzymaj się mocno, bądź na wysokości swego zadania i spełnij obywatelski obowiązek, nie szczędząc siebie ani życia. Tak Ci dopomóż Bóg. Ścisłam mocno i żyję powołaniem. Ojciec A. Karnicki — generał”.

Nie można przecenić moralnej roli tego listu. Jako człowiek rozsądny, Borys zdawał sobie sprawę z groźnej sytuacji wojskowo-politycznej. O to jego własna wersja ówczesnych rozmyślań: „A więc wojna! Nieubłagana, straszna prawda. Nas

wojny! Nie mam kłopotów, nie mam zmartwień”.

Obraz intelektualno-moralnego bagażu, z jakim szedł Borys na wojnę, byłby niepełny, gdyby nie wspomnieć o jego niezwykłej zdolności podejmowania trudnych decyzji, znajdowania w trudnych sytuacjach prostych rozwiązań, które ex post wydają się oczywiste, a naprawę zaś za swój wielki dar intuicji. Tak na przykład wszystkie jego rozkazy wydawane w gorączkowej, awaryjnej sytuacji, kiedy dowodzony przez ORP „Sokół” zaplatał się w sieci przed opanowanym przez niemiecki okręt podwodny w Bałtyku, były jakby z góry przewidziane. Zapytany kiedyś przez brytyjskiego admirała, co zrobi widząc na horyzoncie podejrzane dymy, odpowiadał bez namysłu: „Idę na zbliżenie”. Zwykle odpowiadał na pytanie nie brzmiało: „staram się rozpoznać ten obiekt”. Też dobrze, ale pierwsza odpowiedź jest bardziej drapieżna, zdradza więcej troski o to, aby nie pozwolić nieprzyjacielowi wymanewrować, niż o własne bezpieczeństwo. Wszystkie zaś wspomniane wyżej przymioty Borysa, jak wspólna klamra, spina czynnik bodaj najważniejszy na wojnie, szczególnie osobiste. Jak się okazało, wyruszył on 1 września 1939 roku nie po śmierć, a po laury i sławę, których przysporzył sobie i polskiej banderze!

„Contra spem spero” — tak trzeba określić nasze myśli i uczucia na początku kampanii wrześniowej na morzu. Kłęk, jaka przyniosła nieubłagana rzeczywistość, była kolośalnym wstrząsem, ale nie wstrząsł się jej. Nie boimy się sady historii nad naszymi działaniami bojowymi. Niektóre epizody zmagania o razu zyskały wielkie uznanie, inne bardzo liczne, czekają jeszcze aż czas i historia nadadzą im należną rangę.

Spółród naszych pięciu okrętów podwodnych aż dwa przedarły się przez ciesniny duńskie na Zachód. W czasie pierwszej wojny światowej duńska Marynarka Brytyjskiej była to przedarć się dwóch okrętów podwodnych na Bałtyk, aby wspomóc flotę rosyjską. W swoim czasie wydarzenie to było wielką sensacją na świecie, na dowódców posypały się najwyższe odznaczenia bojowe, w muzeum bazy okrętów podwodnych w Portsmouth jest dziś eksponowana wysadzana brylantami złota papierośnica, dar cara dla brytyjskiego dowódcy. O ile trudniejsza była taka akcja dla okrętów polskich w 1939 roku, nie dysponujących już atutem zaskoczenia, okrętów z licznymi uszkodzeniami odniesionymi w poprzednich akcjach mających na swej drodze potężne siły nieprzyjacielskie, według wszelkiego prawdopodobieństwa strzegące ciesnin. Podjęcie takiej decyzji — za manewr schronienia się w Szwecji — w tych okolicznościach było wyzwanem rzuconym losowi, zuchwałym buntem przeciwko realizmowi życia.

Przejście przez cieśninę „Orla” stało się wydarzeniem powszechnie znanym, gdyż stało się jednym z epizodów słynnej odysei tego okrętu. Nato-

miast taki sam wyciecz „Wilka” jakoś się zagubił w powodzi innych dramatycznych wydarzeń, rozgrywających się w tym czasie. W urzędowym sprawozdaniu z tej akcji, do-

kolejny atak bombowy powodował nowe uszkodzenia. Powtarza się to kilkakrotnie. Dopiero po miesiącu takich zmaganiach udało się wyprowadzić okręt z Malty i skierować go

do Gibraltaru. Właściwie był to już wrak; pogięty kadłub, wszystkie zbiorniki wodne, rosnące balasty — przeciekały. Jedną baterią nieczynną, wydosłaje się z niej chlor. Prawa śruba złamana, lewa uszkodzona. Anglicy orzekli, że okręt ten, według wszelkich regulaminów, nie nadawał się już do użycia, to że go uratowano to „prywatna sprawa” dowódcy i załogi. Ocalony w ten sposób i następnie wyremontowany „Sokół” odniósł jeszcze dużo sukcesów w czasie operacji alianckich na Morzu Śródziemnym.

Walczą o boku Marynarki Brytyjskiej, polscy podwodnicy powrócili do swej właściwej roli myśliwych, a nie tropionej zwierzyny.

Długa jest lista niebywałych przygód Borysa Karnickiego, już jako dowódcy ORP „Sokół”. Lista okrętów i statków zatopionych przez niego torpedami, pociskami artyleryjskimi, a nawet zdobytymi w walce wręcz. Do największych jego sukcesów należy zapewne akcja w zatoce Navarino na południowo-zachodnim krańcu Peloponezu. „Sokół” usiłował wdrzeć się w zanurzenie do portu, aby rozprawić się z zauważonym tam nieprzyjacielskim okrętem. Przy wejściu zaplatał się w zapórę sieciową. Nad okrętem wybuchły bomby. „Nastąpiła chwila grozy — pisze jeden z członków załogi: — krople potu pojawiały się na skroniach dowódcy”, który zdławionym głosem wydał szybkie komendy.

Za pomocą serii trafnych manewrów udało się Borysowi wyszarpać okręt z sieci jeszcze przed przybyciem kuterów z bombami głębinowymi. Doznany szok nie odstrążył go jednak od dalszego obowiązków — okręty w Navarino, zwłaszcza że stwierdzono pojawienie się tam dwóch niszczycieli. Tym razem nie wchodził do portu, tylko z wielką dokładnością, a także — jak pisał Anglicy — z jeszcze większą bezcelnością, wystrzelił trzy torpedy przez wyrzuty przez „Sokoła” otwór w sieci. Nastąpił kontratak nieprzyjaciela, na szczęście nie skuteczny. I to nie zniechęciło Borysa do dalszych działań, bo stwierdził, że nie wszystkie jednostki w porcie zostały zniszczone. Ponowił więc atak torpedowy następnego dnia. W wyniku tej akcji zatopione zostały: jeden niszczyciel i dwa transportowce, zaś drugi niszczyciel został uszkodzony. Opisując te akcje Anglicy nazwali „Sokoła” jednym z najgroźniejszych polskich okrętów.

Wracając do bazy na Malcie, po tak niebezpiecznych i tak szczęśliwie zakończonych przygodach pod Navarino, nie podejrzewał Borys, że najgorsze ma jeszcze przed sobą. Rozpoczęły się bezustanne ataki lotnicze na Malte, „Sokół” został poważnie uszkodzony bombami lotniczymi. Załoga dokonywała cudów, aby własnymi siłami naprawić szkody, bo stoczną przy ciągłych nalotach była faktycznie nieczynna. Kiedy okręt był już prawie gotowy do wyjścia, „Wilku”,

Wspomnienia, chociaż plącza się dziwnymi nierzadko ścieżkami, nie gina. I co paradoksalne, wraz z oddalaniem się od chwili, co zapadły w pamięć, kontury minionych zdarzeń zaostrzają się. One same — wpasowują się w daty i pejzaże. Ludziom, tym twarzom z mroków, przybyszą pseudonimy, zaraz potem nazwiska, rodziny, całe wioskowe genealogie. To zadziwiające dopielanie się obrazu historycznego detale, liczb, szczególnie nie wynika — rzecz jasna — z żądania biologicznego fenomenu. To tylko pamięć żywa i chłonna swa zwyczajną pilnością otrzymuje przez lata wsparcie w działaniach przypadków pokrewnych, wydobytych nagle na światło dzienne, skojarzonych z naszymi wspomnieniami. „Wspomnienia, te spływają zaraz po wyzwoleniu, w gorącej atmosferze, w osłonięciu nowością naszą dziś, co tu kryć — rozpoczyna pan TADEUSZ ZŁOTNICKI — jednostronnością. Z perspektywą czterech dziesięcioleci lat, z optyką wzbogacającą przeogromnie o setki informacji z czasów wojny — nasze sądy, oceny i wnioski zdają się być bardziej obiektywne. Z pewnością zaś chcemy żeby takie były.”

Tadeusz Złotnicki — podporucznik rezerwy, żołnierz Batalionów Chłopskich z sześciolatnim stażem konspiracyjnym. Kierownik wywiadu BCH powiatu dąbrowskiego. Organizator „ROCHA” — Ruchu Oporu Chłopskiego. Redaktor wojennego biuletynu. To proste, rutynowe wyliczenie towarzyszy dokumentom wojennym — lecz nie tylko — odznaczają: w 1943 roku sekretarz ofitunowskiej gminy zostaje kawalerem Krzyża Partyzanckiego i Odznaki Grunwaldzkiej. Dwadzieścia lat później kierownika działu Rejonu Eksploatacji Dróg Publicznych dekorują Złotym Krzyżem Zasługi. W siedemdziesiątym trzecim reńście Złotnickiego uhonorowano Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Czas kruszy ludzi, chudnie stawka „Wiciwów” z BCH. Coraz bardziej spieszysz się trzeba, by zasługi uznać i docenić.

— Urodziłem się, w Nowym Yorku, dokąd matka z ojcem przywędrowali za chlebem ze

wsł dąbrowskiej. Starszy brat właśnie ze Stanów wrócił w osiemnastym roku do kraju, by bić się o Polskę w austriackim wojsku i zginął jako ochotnik. W 1921 roku, już do wolnego kraju wróciłem i ja, aby klepać biedę na 2,5-morgowym poletku mej schorowanej babki. Ciągnęło mnie do nauki.

W rodzinnych Siedliszowicach kończy więc Tadeusz Złotnicki 4-klasowe powszechniaką a potem nadchodzą gimnazjalne czasy. Maturę zdaje w II Gimnazjum w Tarnowie, ucząc się i mieszkać na stacji w „dewniakach” przy ulicy Skargi, kilkadziesiąt metrów od swego obecnego mieszkania.

Ze studenterii, która się tam gnieździła wyszło wielu wspaniałych ludzi, ciężko to byłoby dla mnie czasu — bo sam się musiałem prowadzić na stacji, ale równocześnie piękne.

Wszystkim zasługą dowódcy Cieszył się on bezgranicznym zaufaniem i autorytetem u podwładnych nie tylko dzięki swym walorom zawodowym, lecz także dzięki niecodziennym cechom, charyzmatycznej osobowości. Zjednywał też sobie powszechną sympatię i szacunek kolegów pogodą, życzliwością, uczynnością, radością życia i tym najcenniejszym rodzajem poczucia humoru, u którego podłoża leży żywa wyobraźnia.

Po wojnie Borys Karnicki osiedlił się w Londynie, założył rodzinę i przez wiele lat ciężko pracował na jej utrzymanie. Znalazł dzielnego towarzysza w swojej żonie — Jadwidze z Mickiewiczów — bez pomocy której nie zdobyłby prawdziwiego poczucia humoru, u którego podłoża leży żywa wyobraźnia.

Przez wszystkie te lata Borys utrzymywał serdeczne kontakty z przyjaciółmi i kolegami z marynarki, które szczególnie się nasiliły w ostatnim okresie, kiedy miał już mniej obowiązków rodzinnych, a coraz silniej odczuwał, jak to bywa na starość, więź z dawnymi towarzyszami walki.

Był wśród nas, stanowił tak oczywisty, żywy element naszego świata, naszej młodości, naszej legendy, że teraz kiedy odszedł, uświadamiamy sobie boleśnie, jak wiele znał, w naszym życiu jego obecność, jego przyjaźń.

Pamięć o komandorze Borysie Karnickim nie jest tylko naszą prywatną sprawą, zasługującą na sobie na zaszczytne miejsce na kartach historii polskich zmagani na morzu.

Od Redakcji: Wczoraj na Oksywiu w Gdyni odbył się uroczysty pogrzeb prochu komandora Borysa Karnickiego sprowadzonego z Londynu. W tej ostatniej drodze towarzyszyli dowódcy „Sokoła”, rodzina, przyjaciele i dowództwo Marynarki Wojennej. Krótko przed swą śmiercią komandor Karnicki przejął mundur, odznaczenia bojowe i pamiątki wojenne Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni.

Na zdjęciach: kiosk ORP „Sokół” oraz załoga działła na ORP „Wilku”.

Wspomnienia, chociaż plącza się dziwnymi nierzadko ścieżkami, nie gina. I co paradoksalne, wraz z oddalaniem się od chwili, co zapadły w pamięć, kontury minionych zdarzeń zaostrzają się. One same — wpasowują się w daty i pejzaże. Ludziom, tym twarzom z mroków, przybyszą pseudonimy, zaraz potem nazwiska, rodziny, całe wioskowe genealogie. To zadziwiające dopielanie się obrazu historycznego detale, liczb, szczególnie nie wynika — rzecz jasna — z żądania biologicznego fenomenu. To tylko pamięć żywa i chłonna swa zwyczajną pilnością otrzymuje przez lata wsparcie w działaniach przypadków pokrewnych, wydobytych nagle na światło dzienne, skojarzonych z naszymi wspomnieniami. „Wspomnienia, te spływają zaraz po wyzwoleniu, w gorącej atmosferze, w osłonięciu nowością naszą dziś, co tu kryć — rozpoczyna pan TADEUSZ ZŁOTNICKI — jednostronnością. Z perspektywą czterech dziesięcioleci lat, z optyką wzbogacającą przeogromnie o setki informacji z czasów wojny — nasze sądy, oceny i wnioski zdają się być bardziej obiektywne. Z pewnością zaś chcemy żeby takie były.”

Tadeusz Złotnicki — podporucznik rezerwy, żołnierz Batalionów Chłopskich z sześciolatnim stażem konspiracyjnym. Kierownik wywiadu BCH powiatu dąbrowskiego. Organizator „ROCHA” — Ruchu Oporu Chłopskiego. Redaktor wojennego biuletynu. To proste, rutynowe wyliczenie towarzyszy dokumentom wojennym — lecz nie tylko — odznaczają: w 1943 roku sekretarz ofitunowskiej gminy zostaje kawalerem Krzyża Partyzanckiego i Odznaki Grunwaldzkiej. Dwadzieścia lat później kierownika działu Rejonu Eksploatacji Dróg Publicznych dekorują Złotym Krzyżem Zasługi. W siedemdziesiątym trzecim reńście Złotnickiego uhonorowano Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Czas kruszy ludzi, chudnie stawka „Wiciwów” z BCH. Coraz bardziej spieszysz się trzeba, by zasługi uznać i docenić.

— Urodziłem się, w Nowym Yorku, dokąd matka z ojcem przywędrowali za chlebem ze

wsł dąbrowskiej. Starszy brat właśnie ze Stanów wrócił w osiemnastym roku do kraju, by bić się o Polskę w austriackim wojsku i zginął jako ochotnik. W 1921 roku, już do wolnego kraju wróciłem i ja, aby klepać biedę na 2,5-morgowym poletku mej schorowanej babki. Ciągnęło mnie do nauki.

W rodzinnych Siedliszowicach kończy więc Tadeusz Złotnicki 4-klasowe powszechniaką a potem nadchodzą gimnazjalne czasy. Maturę zdaje w II Gimnazjum w Tarnowie, ucząc się i mieszkać na stacji w „dewniakach” przy ulicy Skargi, kilkadziesiąt metrów od swego obecnego mieszkania.

Ze studenterii, która się tam gnieździła wyszło wielu wspaniałych ludzi, ciężko to byłoby dla mnie czasu — bo sam się musiałem prowadzić na stacji, ale równocześnie piękne.



Już w szkole Złotnickiemu się „chciało”: wybrano go gimnazjalnym wójtem a z racji politycznej pasji nazywano „Witosikiem”. Potem rozpoczął studia prawnicze na krakowskim uniwersytecie. Po dwóch latach zabrakło na czesne. Trzeba było szukać pracy — Pojechał na Śląsk, gdzie mój krewny wyrubił mi posadę na poczie, w trzydziestym ósmym po zajęciu Zaolzia przeniesiono mnie do Bohumina. Gdy wybuchła wojna pocztowcy — jako zmilitaryzowana służba — zabezpieczali państwowy majątek. Wraz z kolegami eskortowaliśmy przesyłkę 1,5 miliona złotych, wioząc ją aż na rubież przedwojennej Polski. Do rodziny powróciłem dopiero w grudniu trzydziestego dziewiątego roku. Trzeba było się gdzieś zamelinować, bo Niemcy dobrze znali nasze zawody i zaporytowania. Zdarzały się już grupowe aresztowania.

Pomimo zastraszania wsi zaraz po powrocie szuka Złotnicki kontaktu z partyzantką. Szansa trafiła się przez kapitana Kabata. W Siedliszowicach wstępuje do Związku Walki Brojowej.

Po roku konspiracyjnej działalności staje się jednak jasne, że polityczne podziały doprowadzają do rozbicia jednolitego frontu. Powstaje Straż Chłopska — „Chłostra”, zbrojne ramie „ROCHA”. Ludowcy wśród nich Złotnicki, szukają własnej drogi do wolności.

„To było dla nas bardzo ważne, równie ważne jak przed wojną, która tym razem jednak dawała szansę na inne urządzenie wyzwolenego kraju, niżli za sanacyjnych czasów. Na wsi stworzyliśmy wszystkie niemal komórki organizacji społecznych. Był Ruch Oporu Chłopskiego — jako forma stronnictwa społeczno-politycznego, była „Chłostra” a potem Bataliony Chłopskie spełniające rolę wojskiej armii. Młodzieli grupowała się w „Młodym Lesie” a kobiety w „Ludowym Związku Kobiet”. Zorganizowano „Sieć” — wywiad i terenowe oddziały „Rocha” odpowiadające strukturze administracji: Nadleśnictwa — powiaty, Leśnictwa — gminy i Gajówki — gromady.

Od 1942 roku Złotnicki — „Zagłoba” działa właśnie jako szef „Sieci” przy dąbrowskim Nadleśnictwie. W sierpniu czterdziestego trzeciego zostaje mianowany zastępcą przewodniczącego powiatowego „Trójki” batalionów. Spada nań coraz więcej obowiązków, częste kontakty z wieloma ludźmi stają się niebezpieczne. Na dodatek do rozlicznych zajęć dochodzą wkrótce nowe. „Zagłoba” wchodzi do redakcji ludowego pisma podziemnego, wydawanego na Powiślu Dąbrowskim.

— „Powstanie naszego pisma było ściśle związane z polityczną sytuacją polskiego podziemia wojennego. Wcześniejsze próby nie powiodły się z braku kandydata na redaktora, więc dopiero po akcji scaleniowej Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich w 1944 roku, udało się nam rozpocząć wydawanie „Jedności Czynu i Myśli”. To była prawdziwa konieczność, bowiem powiat dąbrowski zalewany był propagandą prosanacką, proendecą, która była w wielu wypadkach skierowana przeciwko Ruchowi Ludowemu”. Naczelnym konspiracyjnym pisma zostaje Władysław Myśliński ps. „Zawora” z Brzeska, „Zagłoba” pracuje jako redaktor na terenie dawnego powiatu Dąbrowa Tarnowska. „Jedność Myśli i Czynu” propaguje społeczne zapatrywania „Rocha”, niejednokrotnie wchodząc w konflikt z poglądami prezentowanymi przez dowództwo Obwodu AK. Blisko 800 egzemplarzy pisma mocno oddziaływało na postawy ludowców, coraz więcej mieszkańców opowiadało się po stronie ruchu. Dowództwo Obwodu AK zaniepokojone wpływami „Rocha” specjalnym rozkazem zabroniło czytania żołnierzom „Jedności...”. Aby zapobiec konfliktom wewnątrz zbrojnego podziemia „Jedności” 1944 roku dochodzi do połączenia akowskiej „Pobudki” i „Jedności Myśli i Czynu” pod jedynym szydem „Jedności”.

Gazetkę wydawali na terenie Przybysławic i Sikorzyc na powiatu raczym. Na początku matryce przygotowywaliśmy u Franciszka Kuczkę ze Zdrochota, który będąc organistą w kościele — właśnie tam na maszynę przygotowywał materiały do druku. W jego domu w Marcinkowicach znajdował się też punkt przebitkowy. Wielkie kłopoty sprawiała praca redakcyjna, podzielona między osoby zamieszkałe w różnych miejscowościach, które na domiar złego dzieliła dolina Dunajca. Przez jedyny most w Siedliszowicach, obstawiony posterunkami wojska niemieckiego materiały przenosiły kobiety. Wraz ze zbliżaniem się frontu ryzyko stawało się ogromne. W rezultacie wydaliśmy w sumie 18 numerów „Jedności”, w tym 10 nume-

row „Jedności Myśli i Czynu”. Ostatnie egzemplarze drukowano 12 stycznia 1945 roku, kilka zaledwie dni przed odzyskaniem wolności.

Wcześniej jednak Złotnicki — „Zagłoba” bierze udział w sztabowych akcjach dąbrowskiej partyzantki, które weszły do podręczników historii. W lipcu 1944 roku walczy przy przeprawie przez Wisłę w Ujściu Jezucim, chroni akcję „III Most” przetrzutu do Anglii Józefa Hieronima Retingera, ładunku części V-2, inż. eksperta Tomasza Arciszewskiego oraz kuriera Tadeusza Chłucka. Szczegółowe udaje mu się uniknąć dekonspiracji, ale jesienią 1944 roku nawet w Siedliszowicach, nadnaukowej wiosce zaczyna robić się gorąco. Niemieckie kompanie karne buszują po okolicy, pacyfikując wsie w odwet za śmiałe akcje partyzantów. Przy sied-

ziszowickiej przeprawie hitlerowcy wzmacniają Orskommando. We wsi każdy zna każdego, a coraz trudniej ukryć konspiracyjne powiązania. 22 grudnia, po wyspie, dochodzi do aresztowań. Jako jeden z pierwszych do transportu specjalnego do tarnowskiego więzienia dostaje się Tadeusz Złotnicki.

— Część ludzi zdolała uciec, bo zaraz się po wsi rozeszło, że Niemcy chodzą po wsi i zbierają mężczyzn na posterunku. Gromadzone nas według listy, jaką dla gestapo sporządzili trzej kolaboranci i malwersanci przyciśnięci przez Niemców po wykryciu ich nielegalnej działalności handlowej. Zawieźli nas nocnym transportem do Tarnowa, gdzie od razu do blokowego Szragi ze straży więziennej otrzymaliśmy pomoc i możliwość kontaktu z rodzinami. Udało się nam przekupić Niemców, dzięki czemu nie rozstrzelano nas, tylko przetrzymywano w Tarnowie. 14 stycznia zupełnie niespodziewanie otrzymaliśmy od oficera niemieckiego przepustki... zwalniali nas do domu! Wtedy też od niego poznaliśmy prawdziwego zdradcy. To cudowne ocalenie pozwoliło nam na ukrycie się, aż do wyzwolenia. Do dziś nie wiem dlaczego się tak stało? Dlaczego wypuszczono nas a rozstrzelano innych?

Nadeszły czasy powojenne. Czasy entuzjazmu i budowania. Złotnicki, członek Stronnictwa Ludowego a później Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, rozpoczyna pracę w wolnej Polsce jako sekretarz gminy w Ofiowie. Aktywnie działa w ruchu ludowym, reaktywując ZMW „Wici”.

Budowali szkołę, drogi, budynki użyteczności społecznej — inaczej traktowało się wówczas obywateli, nikt nie rozliczał się z godzin nadliczbowych.

Trudny początek lat pięćdziesiątych przeżył kierując w Siedliszowicach piekarnią. Później przez lat jedenaście pracował w Zakładach Mechanicznych, przenosząc się ze wsi do miasta. Blżej mu teraz było do wspomnień, które oddawały podczas spotkań z kolegami ze ZBoWiD. Po przejściu na rentę mógł wreszcie oddać się całkowicie pasji historyka-amatora. Przez długie lata przewodniczył Komisji Historycznej zarządu ZBoWiD w Tarnowie, dopiero choroba zmusiła go do zaniechania pracy. Wciąż jednak wiele czyta, notuje, szuka. Na kartach wielu oracowań, wnoszących zawsze ciekawie własnego przeżycia rysuje obraz czasów, coraz to pełniejszy, stale wzbogacany o nowe detale, prawdziwszy.

KRZYSZTOF GŁOMB

TAJEMNICZY KURIER

ZBIGNIEW SATAŁA

Różnie bledną ludzkie losy. Od czystego przypadku zależą często rozgłos i słowa. Wielokrotnie zdarza się nam słyszeć o zwykłych miernotach, dzięki szczęściu lub umiejętności uzyskiwaniu popularności dostających się na pierwsze strony gazet. Inni, choć o niebo godniejsi, pomimo wielkich zasług, bohaterskich czynów, żyją na uboczu, a po śmierci popadają w zupełne zapomnienie. O takich piszemy.

DOKTOR z Westerplatte

PRZEMYSŁAW OSUCHOWSKI

Człowiekiem wielkim, a równocześnie skromnym, o wspaniałym życiorysie i pięknych czynach był Wojciech Szober syn słynnego językoznawcy, profesora Uniwersytetu Warszawskiego Stanisława Józefa Leonarda Szobera. Wojciech przez wiele lat związany był z Zakopanem, tam się uczył, potem był kurierem, chodził po górach. Kto go dziś pamięta? Próbowałem znaleźć ślady życia tego bardzo ciekawego człowieka.

U kogo szukać w mieście pod Giewontem informacji jak nie u twórcy Encyklopedii Tatrzańskiej Witolda Paryskiego. W domu na Kosińcu posiada ogromną bibliotekę, wielki zbiór wyników prasowych, tomy zapisków. Czy coś wie o Szoberze?

Niestety, niewiele. Wojciech wychowywał się w willi „Wojciechowo”, ładnym budynku, stojącym w pobliżu słynnej willi „Pod Jedlami”. Jego matką była Stefania Nowakowska, od 1907 roku żona twórcy „Słownika poprawnej polszczyzny” — Józefa Szobera. Profesor przebywał jednak najczęściej w Warszawie, za to matka i syn najczęściej mieszkali w Zakopanem. Wojciech uczęszczał do gimnazjum zakopiańskiego „Liliana”, zdał maturę w 1927 roku. Jego kolegami byli m. in. Bogusław Szerer, mieszkający do dziś w Zakopanem oraz Maciej Mischke, przebywający w Krakowie.

Bogusław Szerer to syn „mielniczego Podhala”, słynnego inżyniera geodety Szerera. Owszem przypomina sobie Wojciecha Szobera. Zachował się nawet rycina z podpisem: Szober i Szerer — deux vieux Polonais (dwaj starzy Polacy).

Czechosłowacji — nazywanych wówczas „bibulą komunistyczną”. Paczkę odpowiadającą pakowane odbierali kurierzy w Popradzie w Słowacji z punktu kontaktowego od kolejarzy. Z kurierów którzy chodzili przez Tatry zapamiętałam takie nazwiska: Jan Blicharski, Jan Still, Józef Świątkowski, Józef Kapeniak i Wojciech Szober.

Pytałem Alfonsa Filara, czy w czasie pisania książki nie dowiedział się innych szczegółów o Szoberze, których nie opublikował. Według niego, nieżyjąca już Miłoszewska z wielkim uznaniem wyrażała się o Wojciechu. Był to doskonały kurier. Znal świetnie góry, miał dobre kontakty, mówił płynnie po niemiecku, węgiersku i słowacku. Gdy zaistniała taka potrzeba potrafił przechodzić aż do Budapesztu. Przeprowadził w bezpieczne miejsce wielu działaczy komunistycznych zagrożonych więzieniem i przesładowaniami. Pomagał też w utrzymywaniu tras przerzutowych KPP.

Pewne informacje znajdujemy też we wspomnieniach JÓZEFA KAPENIAKA „Cienie na granicy”. Wzmiankuje tam o współpracy z Szoberem, pisze, że wspólnie przeprowadzali „towarzyszy”. Niestety, autor już nie żyje, nie może nic dodać do swych wspomnień.

W zupełnym mroku kryją się wojenne losy Wojciecha Szobera. Podobno pracował w ruchu oporu, najpierw w Krakowie potem w Warszawie. Walczył w szeregach Gwardii Ludowej, brał udział w powstaniu warszawskim. Po kapitulacji Warszawy dostał się do niewoli niemieckiej, potem trafił do obozu zagłady we Flossenburgu w Bawarii. Zmarł z wyczerpania już po wyzwoleniu obozu.

Tyle tylko śladów udało się wytropić dziennikarzowi po życiu patrioty i Polaka Wojciecha Szobera. Czas zakrył przed nami zapewne wiele ciekawych szczegółów, interesujących zdarzeń. A może uda się wspólnie dorzucić jakieś nowe, nieznane fakty do tego życiorysu. Z wdzięcznością przyjmować będziemy listy z informacjami o życiu Wojciecha Szobera.

Kiedy się wypełniły dni i przyszło zginąć latem, prosto do nieba czwórkami szli żołnierze z Westerplatte...

Tak powstała legenda uwięczona w pieśni Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego i chociaż przebieg obrony Westerplatte jest na o-



gół dość dokładnie znany z różnych relacji i opracowań, to nie zawsze pamiętamy o tych, którzy jako pierwsi rozpoczęli walkę z niemieckim agresorem.

Na cmentarzu Rakowiekim w Krakowie spoczywa komandor Franciszek Dąbrowski, jeden z sześciu oficerów załogi dowodzonej przez majora Sucharskiego. Ale dopiero 7 lat temu przypomniano sobie, że na cmentarzu Wojskowym przy ul. Prandoty jest zapomniana mogiła majora Mieczysława Ślabeo, lekarza z Westerplatte.

„...na przekór nazwisku był to wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna, o czystej twarzy i wesołym spojrzeniu. W czapce noszonej na boki sprawiał wrażenie półczyłwa, półwojskowego, z jego postawy i zachowania się biły prostota i szczerść” — tak zapamiętał nieżyjący już niemal 40 lat lekarza podporucznik Zdzisław Kregielski.

Mieczysław Ślaby urodził się w Przemyslu 9 grudnia 1905 r. Tam też ukończył szkołę powszechną i gimnazjum, był czynnym działaczem harcerskim a także zawodnikiem i działaczem Harcerskiego Klubu Sportowego „Czuwaj”. W latach 1925—1930 studiował medycynę na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. W 1935 został powołany do wojska na stanowisko pierwszego lekarza 35 pułku piechoty w Przemyslu. Rok później został przeniesiony do 5 pułku strzelców konnych w Deblicy, gdzie awansowano go do stopnia kapitana. W czerwcu 1939 trafił do kompanii warowniczek Wojskowej Składowicy Tranzytowej na Westerplatte. O przebiegu walk na Westerplatte i postawie dr. Ślabeo niezwykle su-

gestywnie pisał Melchior Wańkowicz w książce pt. „Westerplatte”. „...Pod ogniem sanitariusze ułożą porucznika Pajęka z rozwalonymi biodrami. Za nim — innych rannych. (...) pierwsze piętro jest zniszczone, a wraz z nim apteka i narzędzia chirurgiczne. W dolnej kondygnacji na zwykłym łóżku połowym czterech żołnierzy trzyma porucznika Pajęka za ręce i nogi, piąty za głowę. Doktor Ślaby trze nożyczkami na żywc...”

Z braku odpowiednich narzędzi lekarz używał nawet rzeczy osobistych: np. malenich nożyczek, które zastosował jako spinnacz do rozerwanych mięśni. Kiedy porucznika Pajęka po kapitulacji przewieziono do szpitala w Gdańsku, niemieccy lekarze z wielkim zainteresowaniem oglądali te prowizoryczne zabezpieczenia.

Praca doktora Ślabeo była pełna dramatów. Nie było lekarstw, narzędzi chirurgicznych, nawet bandaża zostały zniszczone. Często jedyną pomocą, jaką mógł nieść, były słowa. Dzięki jego wysiłkom spośród 53 rannych na Westerplatte żołnierzy zmarło jedynie kilku, reszta trafiła do szpitali, a po wyzdrowieniu — do obozów jenieckich.

Po poddaniu bronionego półpysku dr. Mieczysław Ślaby został odesłany do obozu jenieckiego Stalag I w Klein Dexten pod Królewcem. Pracował tam jako lekarz w obozowej komisji lekarskiej i walczył o życie wielu polskich żołnierzy-jenków, a także cywilów wywiezionych na przymusowe roboty. W tym też czasie poważnie zachorował. Początkowo leczył się sam, a później odesłano go do szpitala w Królewcu. Wrzody żołądka miały jeszcze przypomnieć o sobie po wojnie.

Po wyzwoleniu w październiku 1945 r. Mieczysław Ślaby wstąpił do Lu-

dowego Wojska Polskiego. Mianowano go starszym lekarzem VIII Oddziału Wojsk Ochrony Pogranicza w Przemyslu. Wkrótce został szefem służby zdrowia w tej jednostce. Awansował też do stopnia majora. Mieszkańcy Przemysła zapamiętali go przede wszystkim z jego pracy w Szpitalu Miejskim i Ubezpieczalni Społecznej.

W wyniku tragicznego nieporozumienia mjr. dr. Ślaby został niesłusznie poświadczony o naruszeniu tajemnicy wojskowej i osadzony w areszcie śledczym. Jednocześnie zastrzyła się trwająca od dawna choroba wrzodowa. Zmarł 15 marca 1948 roku.

Wspomniałem już, że o doktorze Ślaby pamięć przetrwała w Przemyslu, ale chyba zasłużył na to, aby pamiętać o nim w Krakowie, gdzie jest jego mogiła. Dziwić się należy, że w mieście, w którym jest ulica i liceum im. Obronców Westerplatte, nie pamięta się o jednym z nich. Postulowano już przed kilkunastu laty, aby jego mogiła zaopiekowała się młodzież szkolna. Niestety grobowiec majora Ślabeo jest cagle zaniedbany.

Jak się niedawno dowiedziałem, kombatancki — członkowie Związku Inwalidów Wojennych oddziału Kraków—Śródmieście zamierzają w najbliższej przyszłości położyć na grobie tego kawalera Orderu Virtuti Militari nową płytę. A może jednak ktoś z krakowskich szkół lub drużyn harcerskich dołączy się do tej akcji i obejmie patronat nad grobem mjr. dr. Mieczysława Ślabeo, bohatera z Westerplatte?

Zanim wojenne dymy rozwiały się, opadły — już wyłoniły się z nich kontury przyszłego pokoju. „Nasza zgoda uczyni pokój trwałym” — obiecywali światu w Teheranie szefowie trzech wielkich mocarstw koalicji antyfaszystowskiej. Ich wspólna deklaracja nosiła datę 1 grudnia 1943. Wojna wkraczała dopiero w decydującą fazę, lecz już wtedy zapadły decyzje kształtujące powojenny świat. Systematycznie później rozwijane w toku współpracy

W toku działań wojennych w latach 1941—1945 Armia Radziecka zniszczyła lub rozbiła przeszło 500 dywizji hitlerowskich i 100 ich sojuszników. Na froncie radziecko-niemieckim hitlerowcy ponieśli 3/4 strat w wojnie.

cy międzysojuszniczej, pozwalały ufnie patrzeć w przyszłość, wybiegać wyobraźnią poza horyzont zwycięstwa.

Przygotowane do dzisiaj zasady postępowania w polityce międzynarodowej zostały sformułowane przez koalicję antyfaszystowską. Jej dorobek okazał się trwały. Zjemy wprowadzić w świecie rozdarty konfliktami, głęboko po-

Jesteśmy skłonni do wypominania przywódców trzech wielkich mocarstw koalicji antyfaszystowskiej, że uzgodnione przez nich postanowienia o przyszłości Niemiec nie zostały wprowadzone w życie, bądź raczej — że niebawem zaniechano ich realizacji. W zachodnich strefach okupacji

Ruch oporu w Polsce objął 500 000 ludzi. Przeprowadził on ok. 10 000 akcji zbrojnych, w trakcie których zabiło ok. 150 000 hitlerowców.

Niemiec Wielka Brytania, Francja i Stany Zjednoczone stopniowo odchodziły od porozumień z Jaltą i Poczdamu. Strefy okupacyjne, które zgodnie z przewidywaniami miały być utrzymane przynajmniej przez czas życia jednego pokolenia, zostały przekształcone w dwa samodzielne państwa.

Pod koniec lat czterdziestych i w latach pięćdziesiątych istnienie dwóch państw niemieckich mogło wydawać się jeszcze zarodkiem napięcia w Europie, potencjalną przyczyną konfliktu. Dziś na ten stan rzeczy patrzymy zupełnie inaczej. Świat przyjął do wiadomości, że podział Niemiec ma

pewne szczególne prawa wynikające z odpowiedzialności, jaką na siebie przyjęli. Lecz z chwilą, kiedy w Jaltie uzgodniono wreszcie procedurę głosowania w Radzie Bezpieczeństwa (ileż trzeba było wyobrazić, by precyzyjnie uzgodnić mechanizm unikania konfliktów w gronie mocarstw, nadal skuteczny po czterdziestu latach!) — postanowiono nie czekać do zakończenia wojny i zwołać konferencję dla utworzenia powszechniej organizacji międzynarodowej do San Francisco na 25 kwietnia 1945.

Nie znaczy to jednak wcale, że małe i średnie państwa koalicji antyfaszystowskiej dopiero w San Francisco zostały dopuszczone do dyskusji nad kształtem pokoju. Chociaż z natury rzeczy, zdłomnowana przez wielkie mocarstwa, koalicja antyfaszystowska podejmowała również inicjatywy państw mniej-

Polscy lotnicy zestrzelili 1169 (w tym 202 prawdopodobnie) samolotów wroga.

szych. Do najważniejszych z nich, a przy tym do najwcześniejszych, należy deklaracja w sprawie karania zbrodniarzy za popełnione przez nich okrucieństwa w krajach okupowanych

udzielając poparcia koncepcji ochrony praw jednostki, która jednak znacznie większy nacisk na kwestię praw narodów.

Nie kwestionując bynajmniej klasowych uzasadnień takiego stanowiska — pragnę jednak zwrócić tu uwagę, że przemawiały też za nim bogate doświadczenia wyniesione prosto

W chwili zakończenia wojny Radzieckie Siły Zbrojne liczyły 11,3 mln żołnierzy. Tytuły Bohaterów Związku Radzieckiego otrzymało 10 942 żołnierzy i oficerów.

z pola walki. Pamiętać trzeba, że na froncie wschodnim: w wojnie przeciwko Polsce, a następnie i ZSRR, hitlerowcy z całym okrucieństwem prowadzili zbrodniczą politykę eksterminacji całych narodów, którym w ludobójczym na wskroś planach Rzeszy gotowano wcale nie niewole, lecz biologiczną zagładę. Jest zatem oczywiste, że w zasadzie samostanowienia oraz w powszechnym uznaniu suwerennej równości narodów upatrywano zaporę przeciw groźbie odrodzenia się faszystów.

WOJNA I POKÓJ

dzielonym, zagrożonym wojną nuklearną — lecz mamy przecież za sobą całe czterdzieści lat, podczas których chybotliwy pokój udało się utrzymać. Co więcej: mamy szansę zostawić go po sobie kolejnym pokoleniom!

Paradoksem polega na tym, że koalicja antyfaszystowska świadomie zrezygnowała z możliwości ukoronowania zwycięstwa nad Niemcami traktatem pokojowym. Odstąpiono zatem od praktyki, zgodnie z którą warunki pokoju ustalał byłyby dopiero po zakończeniu wojny, na konferencji z udziałem zwycięzców i zwyciężonych.

Przeszliśmy o tym doświadczenia dwudziestolecia międzywojennego. Na paryskiej konferencji pokojowej po pierwszej wojnie światowej zawarto traktaty pokoju z pokonanymi Niemcami i ich sojusznikami. Traktat wersalski z Niemcami (nazwany tak od miejsca, w którym go podpisano) nie spełnił swojego zadania.

20 mln obywateli radzieckich zginęło w toku działań wojennych i wskutek terroru hitlerowskiego.

nia: nie tylko nie był w stanie zagwarantować pokoju, ale ponadto pobudził ogarniające wkrótce całe Niemcy dążenia do rewizji niekorzystnych dla nich postanowień. Przy biernej postawie zwycięzców, niekiedy nawet przez nich zachęcane, Niemcy systematycznie przekształcały swe zobowiązania wynikające z traktatu, aż w imię rewizji granic nie zawahały się rozpocząć wojny.

Biorąc to pod uwagę, koalicja antyfaszystowska nie zamierzała zawierać po drugiej wojnie światowej traktatu pokoju z Niemcami. Przede wszystkim chodziło tu o to, by „nie targować się, jak na jarmarku” z niegodnym zaufania przeciwnikiem. Zresztą w pobliżu Rzeszy nie było żadnej władzy, która mogła działać w jej imieniu, zaciągać zobowiązania i odpowiadać za ich wykonanie.

Traktat pokoju zastąpiono zatem jednostronną i bezwarunkową kapitulacją Niemiec, zdających się na łaskę Sprzymierzonych i wystawionych na wszelkie żądania, jakie miały być im narzucone. Wśród koalicji antyfaszystowskiej obawa przed kre-

Ludowe Wojsko Polskie w przeddzień zakończenia wojny liczyło 400 000 żołnierzy. Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie skupiały ok. 195 000 żołnierzy.

tactwem i wiarygodnością Niemiec posunięta była tak daleko, że chociaż sam dokument bezwarunkowej ich kapitulacji sporządzony został w trzech językach: po rosyjsku, angielsku i niemiecku — zastrzeżono w nim przeciwko wszelkim, że niarodajne są jedynie teksty rosyjski i angielski. Nie tylko samym Niemcom odmawiano wówczas zaufania, lecz nawet ich językowi.

charakter trwały, że został wkomponowany w rzeczywistość międzynarodową. Kwestia niemiecka narazie straciła globalny charakter.

Wobec tego w ocenie dorobku koalicji antyfaszystowskiej zyskują na znaczeniu, wysuwając się na pierwszy plan, formułowane w cieniu uzgodnień na temat Niemiec zasady współżycia państw w społeczności międzynarodowej. Co cie-

Straty ludności Polski w II wojnie światowej: zamordowanych przez okupanta hitlerowskiego — 5 384 000, zabitych w toku działań wojennych — 644 000. Razem przeszło 6 milionów. Ponadto: 590 000 inwalidów, 2,5 mln deportowanych na przymusowe roboty do Rzeszy i 2,5 mln wysiedlonych.

kawe: wraz z upływem lat, nie tracą one niczego ze swojej aktualności, okazując się instrumentami zakrojonymi na miarę nie tylko naszego stulecia!

Największym i najtrwalszym z dokonań koalicji było ustanowienie światowej organizacji odpowiedzialnej za utrzymywanie międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa. Była to trudna decyzja. Liga Narodów nie mogła być wzorem dla nowej organizacji: była bezsilna, skompromitowana gadulstwem i niemocą efektywnego działania, a przy tym nie do przyjęcia dla Stanów Zjednoczonych, które nigdy do niej nie wstąpiły, i dla ZSRR, który w okresie wojny nie był już członkiem martwej zresztą Ligi.

Rozpoczęto więc poszukiwania nowej formuły organizacyjnej dla społeczności międzynarodowej. Już 30 października 1943 w Deklaracji moskiewskiej dotyczącej bezpie-

W czasie wojny wychodziło w Polsce ok. 1500 czasopism i gazet konspiracyjnych.

czeństwa powszechnego Związek Radziecki, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Chiny zgodnie uznały „konieczność utworzenia w możliwie najkrótszym czasie powszechnej organizacji międzynarodowej, opartej na zasadzie suwerennej równości wszystkich państw mijających pokój i dostępną dla wszystkich takich państw, wielkich i małych, a mającej za cel utrzymanie międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa”.

Moskiewska deklaracja czterech mocarstw dała impuls do podjęcia prac w kierunku utworzenia Organizacji Narodów Zjednoczonych i od tej pory toczyły się one zdmieniając szybko; w niespełna dwa lata później weszła już w życie Karta Narodów Zjednoczonych. Główny ciężar prac przygotowawczych spoczywał na mocarstwach. Było to zrozumiałe: po pierwsze, czuły się one szczególnie odpowiedzialne za utrzymanie przyszłego pokoju i bezpieczeństwa; po drugie, w organizacji, nad projektem której pracowano, pragnęły uzyskać dla siebie

przez Trzecią Rzeszę i jej sprzymierzeńców, uchwalona już 12 stycznia 1942 przez dziewięć państw sojuszników obradujących w Londynie pod przewodnictwem premiera RP, gen. Władysława Sikorskiego. Wielkie mocarstwa na tej konferencji były jedynie obserwatorami, lecz później — w Norymberdze — im właśnie przyszło sądzić hitlerowskich zbrodniarzy wojennych.

Kwestia zbrodni wojennych odegrała bardzo dużą rolę w procesie formułowania założeń przyszłego pokoju. Koalicja antyfaszystowska uznała za jeden z głównych elementów swojego programu ukaranie przestępców wojennych, w tym osób winnych zbrodni wymierzonych przeciwko ludzkości i — co ważne! — przeciwko samemu pokojowi; do tej ostatniej kategorii czynów zaliczono nawet planowanie lub przygotowywanie wojny napastniczej. Ważniejsze jest jednak to, że pod wpływem potwornych okrucieństw dokonywanych w latach drugiej wojny światowej przez państwa faszystowskie, koalicja rozwinęła w swym programie nowatorską i tworzącą koncepcję ochrony praw człowieka na płaszczyźnie międzynarodowej.

Podczas wojny w siłach zbrojnych USA pełniło służbę ok. 15 mln. żołnierzy. Straty w ludziach wyniosły przeszło 400 000.

Koalicja antyfaszystowska uznała prawa człowieka za jeden z celów wojny, a jednocześnie za ważną gwarancję przyszłego pokoju. Warto tu odnotować, że pierwszy wielostronny dokument sojusznicy — deklaracja podpisana w Waszyngtonie przez 26 państw koalicji 1 stycznia 1942, znana powszechnie jako Deklaracja Narodów Zjednoczonych, jest zarazem pierwszym dokumentem, w którym zostały użyte dwa historyczne terminy, splecione od tamtej pory z sobą nierozłącznie: „Narody Zjednoczone” i „prawa człowieka”.

Idea praw człowieka okazała się skuteczną bronią koalicji antyfaszystowskiej. Jak czuła na polu walki — prawa człowieka w sferze świadomości odegrały przełomową rolę.

Siły zbrojne Wielkiej Brytanii w końcu wojny liczyły 5,5 mln żołnierzy.

Pozwalały rozstrzygnąć na korzyść koalicji antyfaszystowskiej nie mniej ważną niż działania zbrojne konfrontację ideologiczną.

Zarazem w łonie samej koalicji toczyły się przeciwko spory o wymowę ideologiczną koncepcji praw człowieka. Państwa zachodnie były przywiązane do tradycyjnej koncepcji ochrony praw jednostki, ale gotowe były rozszerzyć prawa człowieka ze sfery politycznej również na sferę prawną, społecznych i gospodarczych. Natomiast dyplomacja radziecka,

ANDRZEJ S. NARTOWSKI

PRZECHODNIU, POWIEDZ POLSCE...

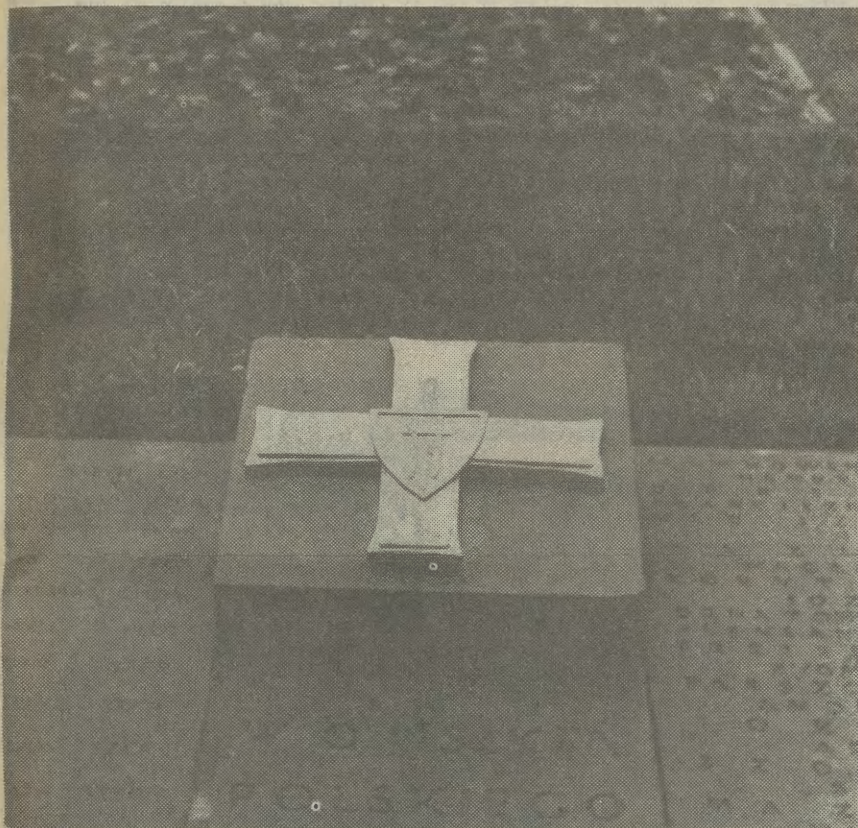


Pomniki wdzięczności, tablice pamiątkowe, cmentarze polskich żołnierzy, mogiły polskich partyzantów, uchodźców i cywilów z okresu II wojny światowej są rozsiadane na niemal wszystkich kontynentach, a głównie w Europie, Azji i Afryce. Od Oceanu Spokojnego do Atlantyku, od kręgu polarnego poprzez Saharę aż do Republiki Południowej Afryki. Miejsca poloników wojennych znajdują się w stolicach i wsiach, na ulicach i w domach, w parkach i lasach, dżunglach i na polach, na stepach i łąkach, w sadach i na pustyniach, w górach, na brzegach rzek i oceanów. Większość tych miejsc została już dziś upamiętniona — znajdują się w blisko 50 krajach.

Staram się w swojej pracy przedstawić ogrom tragedii i cierpienia żołnierzy, cywilów oraz sojuszników, a nawet wrogów. Te zdjęcia są częścią przeżyć doznanych na dawnych polach bitew, wojennych cmentarzach, w powojennym pejzażu miejsc egzekucji, obozów jenieckich i obozów zagłady. Praca ta trwająca blisko 20 lat to połowa mego dotychczasowego życia. Ukształtowała moją świadomość i osobowość. Głębia doznanych przeżyć niekiedy przerastała umiejętność wypowiedzi fotograficznej lecz zawsze wywoływała refleksję nad kainowym piętnem współczesnej ziemi, nad tragicznymi zmaganiem już nie biblijnych braci lecz narodów, ras, systemów, klas i ideologii, nad wojennym dramatem ojczyzny od stuleci walczącej o przetrwanie i należne jej miejsce w Europie. Czasem, z wrażeń, drżały fotografującemu i piszącemu ręce, mocniej biło serce. Jakże się nie wzruszyć, gdy na polach bitewnych II wojny światowej znajdowałem zardzewiały mundurowy guzik z orzełkiem...

Na tych wszystkich miejscach stoją dzisiaj krzyże, obeliski, pomniki, leżą płyty z napisami w niemal wszystkich językach świata, napisami zrozumiałymi, bo oplecionymi nazwami, imionami i nazwiskami polskimi. Jednak kamienie milczą i kruszeją, a ludzie zapominają. Na wietrze gasną znicze, prędko więdną, w spiekocie lub na mrozie, białe-czerwone kwiaty. Co stanie się z tymi miejscami za 50 lub 100 lat? Jak ocalić je przed żywiołami natury i zapomnieniem historii?

TADEUSZ SOBIERAJ



1. SIEKIERKI — pomnik na cmentarzu żołnierzy I Armii poległych przy forsowaniu Odry, szturmie Berlina, pod Sandaun i Kleinwelk.
2. LENINO — pomnik Braterstwa Broni w miejscu bitwy okupionej krowią 2800 zabitych i rannych polskich żołnierzy.
3. KOŁOBRZEG groby żołnierzy I Armii poległych w operacji kołobrzeszkiej.
4. BREDA — Polski Cmentarz Wojskowy, na którym pochowano 151 żołnierzy I Dyw. Pancerniej dowodzonej przez gen. Maczka.
5. MURMAŃSK — Wojskowy Cmentarz Aliancki; spoczywają tu również polscy marynarze, którzy polegli w konwojach do Murmańska i Archangielska.
6. LORETO — największy we Włoszech cmentarz żołnierzy II Korpusu, poległych w bitwie o Ankonę i Loreto.
7. EL-ALAMEIN — Brytyjski Cmentarz Wojskowy, na którym znajdują się też mogiły żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich.
8. WROCLAW — cmentarz żołnierzy LWP poległych w operacjach na Dolnym Śląsku.

Pan Tadeusz Sobieraj opowiadał mi o Polakach pracujących w Azji w ramach umów eksportowych, spotykających się nad grobami żołnierzy II Korpusu. Podobnie jak wszędzie tam, gdzie spoczywają ci, którzy do Polski nie doszli. Na przywiezionych z Bliskiego Wschodu zdjęciach pomniki, obeliski i pojedyncze mogiły wyróżniają się z cmentarnej szarości świeżym kwiatkiem lub zapaloną świecą, częste są też urny z ziemią przywiezioną z kraju, o którego wyzwolenie walczyli i w walce tej złożyli największą ofiarę.

Miejsca spoczynku żołnierzy niosących wolność są pieczołowicie chronione przez miejscową ludność. Najczęściej są zadbane i przy okazji różnych rocznic pokryte wieńcami i wiązkami kwiatów. Tak jest w Związku Radzieckim, w północnej Afryce, zachodniej Europie, również w RFN. Wiele polskich grobów znajduje się na wojennych cmentarzach brytyjskich, amerykańskich i francuskich, ale jest

też wiele rozsiadanych po świecie pojedynczych mogił. O tym kogo w tych miejscach pochowano często nikt już nie pamięta. Są to umierające w zapomnieniu ślady historycznych wydarzeń. Warszawski fotografik postanowił w miarę swoich możliwości odnaleźć wszystkie takie miejsca i dokładnie je opisać. Dwudziestoletni wysiłek i przemierzenie wielu tysięcy kilometrów w Europie, Azji i Afryce przyniosło niespodziewany efekt w postaci tysięcy unikatowych zdjęć. Tadeusz Sobieraj urodził się w 1944 roku, a więc wojnę zna tylko z podręczników i opowiadań. Jest historykiem-amatorem. Szacunek do przeszłych dzieł i historyczna pa-

sja pokierowały jego nietypową drogą życiową. Ukończył technikum fotograficzne, a następnie zdobył tytuł inżyniera geodety na Politechnice Warszawskiej. Geodezją zajmował się jednak krótko. Głównie wzięty: historia i fotografia. Zaczął jeździć najpierw po kraju i utrzymywał w obiektywie miejsca związane z tragicznymi wydarzeniami lat 1939-1945. Odwiedził niemal wszystkie cmentarze wojenne, miejsca masowej zagłady, obozy jenieckie, pola bitew. Zaczął organizować wystawy swych fotografii.

Z czasem doszedł jednak do wniosku, że udokumentować trzeba przede wszystkim te miejsca, do których Polacy docierają najrzadziej. Tak się rozpoczęły wyjazdy zagraniczne. Zwykle obierał jakąś trasę — miesiacami czytał książki i dokumenty, które mogły go naprowadzić na ślad mogił nie tylko polskich żołnierzy, ale i cywilów, którzy wojenną tułaczkę przypłacili życiem. Kiedy czuł się już należycie przygotowany, wyruszał w drogę. W tych wędrowkach

często bywał i tak, że dzięki informacjom uzyskanym od osób mieszkających na trasie jego podróży, zmieniał marszrutę i natrafiał na zupełnie nieznane polskie ślady. Na małych wiejskich cmentarzach odnajdował zapomniane mogiły z polskimi nazwiskami.

Szlaki jego wędrowek ciągle się wydłużały. Po przejechaniu wzdłuż i wszerz całej Europy, rozpoczął coraz dalsze podróże. Kilkakrotnie wyjeżdżał do Afryki i Azji. Jednocześnie przez cały ten czas organizował wystawy swoich prac. Jego zdjęcia oglądali mieszkańcy Krakowa, Wrocławia i oczywiście Warszawy, której poświęcił wiele metrów

fotograficznej kliszy. Organizował też wystawy poza granicami kraju. Wystawiał we Francji (wystawa objazdowa), w Szwecji (Sztokholm, Lund), w Irlandii, a nawet w dalekiej Japonii. Z tego kraju przywoził wiele prac o tematyce pokojowej. Fotografował Hiroszimę i Nagasaki — wstrząsające są szczególnie zdjęcia osób dotkniętych chorobą popromienną.

Poszerzała się też tematyka jego prac. Realizował reportaże fotograficzne na temat poszczególnych miast, państw, kontynentów. Portretował dzieci i kobiety różnych ras. Fotografował architekturę. Wiele czasu spędził nad tematem: religie świata.

Być może Czytelnicy zwrócili uwagę, że piszę o tym wyjątkowym fotoreporterze w liczbie pojedynczej. Otóż fenomen Tadeusza Sobieraja polega nie tylko na tym, że podróżuje po świecie i pracuje najczęściej sam ale na tym, że w swojej działalności jest osobą całkowicie prywatną. Nie

jest pracownikiem żadnego czasopisma ani wydawnictwa. Nie korzysta z pomocy żadnej instytucji czy organizacji. Wszystkie wyjazdy i wystawy przygotowuje sam, sam też wszystko finansuje. Jest z jednej strony osobą całkowicie prywatną, a z drugiej człowiekiem — instytucją. Nikt mu zresztą nigdy nie proponował żadnej pomocy. Nie należy też do takich, którzy by o pomoc zabiegali. Kiedy próbował sporządzić jakiś bilans swojej dotychczasowej pracy, okazało się, że za pomoc może podziękować jedynie prywatnym osobom. Jest ich zresztą wiele nie tylko w Polsce, ale i poza jej granicami.

Warszawski wędrowiec — jak twierdzi — w swych podróżach nigdy nie jest samotny. To zresztą jest dla niego najważniejsze: „Chcę ciągle poznawać nowych wartościowych ludzi. Jest ich na świecie niemało”. Kiedy pytałem, co go skłania do takiej tytanicznej pracy, czy nie bał się nigdy fiaska, odpowiedział: „W życiu trzeba do czegoś dążyć. A nie ma celów nieosiągalnych. Trzeba tylko bardzo chcieć. Wtedy można dokonać rzeczy z pozoru niemożliwych”.

Kiedy te kilka zdjęć trafi do Państwa rąk, ich autor, Tadeusz Sobieraj będzie właśnie otwierał swoją kolejną wystawę. Tym razem w Malmö. Ekspozycja będzie towarzyszyła spotkaniu byłych więźniów obozów koncentracyjnych, którzy, specjalnymi transportami z Niemiec przez Danię, trafili do Szwecji w 1945 roku. Akcją tą kierował hrabia Folke Bernadotte, wiceprezes Szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Tam dochodzili do zdrowia i właśnie tam spotkają się teraz po 40 latach.

Z pewnością nie będzie to ostatnia wystawa Tadeusza Sobieraja. Jego pionierska praca jest godna ciągłej popularyzacji. Zastępuje na to nie tylko temat, ale również osoba autora. Być może doczekamy się też wkrótce albumowego wydania jego prac.

Mógłby ktoś zapytać — po co to wszystko? A czy nie jest piękna ta walka z zapomnieniem?

PRZEMYSŁAW OSUCHOWSKI



Stefan Garwański — „Na przedpolach Warszawy”



Zbigniew Jaskierski — „Obróńcom Tobruku”

Synowie i Córki ludu polskiego...

...którzyście w mundurach czy w stroju cywilnym jednak toczyli śmiertelną walkę o życie i wolność narodu, o godność i honor Ojczyzny naszej — Polski.

Rodacy, którzyście wierni umiłowanej Ojczyźnie i hasłu ojców naszych „Za wolność Waszą i naszą” krwią swoją w walce z faszyzmem zrosili polską Polskę i Rosję, Francję i Białoruś, Anglię i Ukrainę, Libię i Norwegię, Belgię i Włoch, Holandię i Jugosławię.

Żołnierze polscy — bojownicy wszystkich frontów wielkiej antyfaszystowskiej wojny ludów, Bracia, którzyście Ojczyznę naszą oddali to, co najdroższe — życie swoje...

Wzywam Was tu, do Warszawy, przed ten męczennicki Grób Nieznanego Żołnierza.

Wzywam Was do apelu...

Wzywam Was, którzyście pierwsi dojrżeli groźbę faszyzmu, zagroźli mu drogę w dalekiej Hiszpanii pod murami Madrytu.

Was wzywam Dąbrowszczacy, bohaterowie Ciudad Universitaria, Casa del Campo, Guadalajary, Hueski, Saragossy i rzeki Ebro.

Cześć Ich pamięci.

Wzywam Was, którzyście we wrześniu 1939 roku trwali do końca na straconych placówkach.

Wzywam Was — bohaterowie Westerplatte, obrońcy Gdyni i Katowic, żołnierze bitwy w Borach Tucholskich i nad Bzurą, żołnierze spod Kocka, obrońcy Warszawy, Modlina i Helu.

Cześć Ich pamięci.

Wzywam Was, którzyście podejmowali walkę wszędzie, gdzie spotkaliście się z wrogiem.

Was wzywam, bohaterowie Narwiku, Was obrońcy To-

bruku, obrońcy ziemi francuskiej, bohaterowie La Garde, Saint Hippolyte, Montmirail i Deru.

Cześć Ich pamięci.

Wzywam Was, którzyście na morzach i w przestrzeniach powietrznych świata rozstawili imię Polski.

Was wzywam — marynarze polscy, obrońcy brytyjskich wybrzeży, bohaterowie konwojów do Murmańska, wojownicy walk o Morze Śródziemne.

Was wzywam — lotnicy polscy, obrońcy Londynu, bohaterowie bitwy o Anglię i wypraw bombowych na ziemię wroga.

Cześć Ich pamięci.

Wzywam Was, którzyście tu w kraju odważnie podnieśli sztandar bezkompromisowej walki z najeźdźcą hitlerowskim i walki o Polskę nową, ludową, o Polskę sprawiedliwości społecznej.

Was wzywam — podziemni wojownicy Polskiej Partii Robotniczej, żołnierze Gwardii Ludowej.

Cześć Ich pamięci.

Wzywam Was, którzyście odnaleźli prostą drogę do ludowej Ojczyzny, stanęli u boku bratniej Armii Radzieckiej i zadzierzgnęli z nią w boju niezłomne braterstwo broni.

Was wzywam — żołnierze pierwszej polskiej dywizji im. Tadeusza Kościuszki, żołnierze I Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR — bohaterowie bitwy pod Lenino, obrońcy Darnicy, bohaterowie Puławy, Dębłina, Warku, Pragi, przyczółka Czerniakowskiego i Jabłonny.

Cześć Ich pamięci.

Wzywam Was, bojownicy ruchu oporu w kraju, ofiarni żołnierze armii podziemnej i antyfaszystowskiej dywersji, łączniczki i kolporterki.

Was wzywam — żołnierze Armii Ludowej i Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich, organizacji bojowej RPPS i Żydowskiej Organizacji Bojowej, ZWM-cwcy i harcerze, bojownicy wszystkich organizacji i ugrupowań, którzy za Polskę walczyli i jej swe życie oddali.

Was wzywam — powstańcy Treblinki i warszawskiego getta, konspiratorzy Oświęcimia i Buchenwaldu, żołnierze — partyzanci polscy we Francji i Jugosławii.

Was wzywam — powstańcy warszawscy — żołnierze Armii Krajowej, Armii Ludowej, Polskiej Armii Ludowej, Was — obrońcy straconych barykad, żołnierze „Żołnierzy i „Parasola”, Was — „Czwartacy”.

Ciebie wzywam — najofiarniejszą młodzież warszawską, Was wszystkich wzywam, którzyście krwią swoją hojnie zbroczyli ulice i place naszej ukochanej stolicy.

Cześć Ich pamięci.

Wzywam Was żołnierze-tulacze, coście przez Apeniny czy La Manche szukali drogi do wolności.

Was wzywam — zdobywcę Monte Cassino, Ancony, Bolonii, Was — bohaterowie Falaise i Chambois, wyzwolicieli Bredy, Was tragiczni bohaterowie Arnheim.

Cześć Ich pamięci.

Wzywam Was, którym dane było u boku bratniej Armii Radzieckiej wyzwalać ziemie polskie i krew swoją na ojczyźnej przelać ziemi.

Was wzywam — żołnierze I Armii Wojska Polskiego, wyzwolicieli Warszawy, bohaterowie Wału Pomorskiego, zdobywcę Kołobrzegu, uczestnicy bitew o Szczecin, Gdańsk, Gdynię.

Was wzywam — żołnierze I i II Armii, czołgiści Kor-

pusu Pancernego, którzyście przywracali Ojczyźnie historyczne granice na Odrze i Nysie, Was — bohaterowie Odry, Budziszyna i Kanalu Hohenzollernów; Was, którzyście walczyli pod Dreznem, pod czeską Pragą, nad Łabą.

Cześć Ich pamięci.

Wzywam Was, żołnierze polscy, którzyście z honorem wzięli udział w ostatnim akcie tej wielkiej wojny na ulicach Berlina.

Was wzywam — żołnierze I Warszawskiej Dywizji Piechoty, którzyście podnieśli sztandar polski na Kolumnie Zwycięstwa w Berlinie.

Cześć Ich pamięci.

Wzywam Was — żołnierze polscy, żołnierze II wojny światowej, żołnierze wielkiej wojny ludów z faszyzmem.

Los wojenny rozproszył braci naszych po lądach i morzach świata. Mogli najlepszym synów Ojczyzny znaczą szlaki polskich wędrowców, walk i czynów bohaterów w krajach Zachodu i Wschodu, Północy i Południa. Ale serca ich na zawsze pozostały w Ojczyźnie.

Prochy bitewne ze wszystkich pobojuwisk zebraliśmy troskliwie i przed 11 laty*), w pierwszą rocznicę sławnego zwycięstwa 9 maja 1946 roku, tu do Grobu Nieznanego Polskiego Żołnierza złożyliśmy.

Niech spoczywają w pokoju.

Cześć Ich pamięci.

Niech zawsze w pamięci narodu pozostaną imiona i dzieła tych, co w walce o słuszną sprawę oddali wszystkie siły i życie.

*) Apel poległych Wojska Polskiego. (Według formuły po raz pierwszy zastosowanej w dwunastą rocznicę zwycięstwa 9 V 1957 r.)



Aleksander Winnicki — „Partyzanci Armii Ludowej”



Wiesław Garboliński — „Chwila wytchnienia”



Stanisław Żółtowski — „Obróńcy Starego Miasta”



Kazimierz Śramkiewicz — „ORP Błyskawica”